

p1,40,42

1919

SIERPIEŃ

ZESZYT 9-10

t.8



2.H.

ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYSŁOWEJ :: :: ::

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: „Ostoja” Poznań — Plac Wolności 17. :: :: :: ::

ZASTĘPSTWO REDAKCJI: Jan Śliwiński, Warszawa, ulica Flory 9.

SKŁAD GŁÓWNY NA KRÓLESTWO POLSKIE: Wende i Sp., Warszawa, Krakowskie Przedmieście.

Prenumerata roczna (na pocztę) — 72 marek, półroczna — 36 marek, kwartalna — 18 marek.

Zeszyt pojedynczy 4 marki. — **Przesyłka pod opaską** 15 fen. za zeszyt.

OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

Administracja uwzględni wypowiedzenie prenumeraty tylko na dni 14 przed upływem każdego ćwierćrocza.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

OD REDAKCYI: Rękopisy zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — **Odpowiedzi na listy** za nadesłaniem marki pocztowej. — **Rękopisy bez nazwiska autora** i wyraźnego adresu niszczą się bez czytania. — — — **Redakcja** nie wdaje się w dyskusje na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.



„OSTOJA” Spółka Wydawnicza

w Poznaniu, pl. Wolności 17

Telefon 5100



M. Szykowski — Zarys rozwoju pamiętnictwa polskiego	7,60
A. Nowaczyński — Pułaski w Ame- ryce	4,50
A. Nowaczyński — Szkice lite- rackie	9,—
T. Tyc — Facecje z dawnej Pol- ski	3,60
Zuk-Skarszewski — Pustka	6,50
W. Berent — Żywe kamienie	11,—
B. Tagore — Gitanjali	12,—
M. Sobieski — Na Marginesie don Kiszota	6,—
M. Scheff — Ziemstwa kredy- towe	9,—
Cz. Andrzejewski — Żywiół nie- miecki w zachodniej Polsce	3,60
I. N. Kosmowska — W. Libelt jako działacz polityczny i spo- łeczny	2,70

**Do nabycia w wszystkich księ-
garniach.**

Wacław Berent

Żywe Kamienie

(„Opowieść Rybaltą“)

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA”
w Poznaniu, plac Wolności 17.

Nabyć można w wszystkich księgarniach.

Cena 11,— mk.

RZECZY PIĘKNE

miesięcznik poświęcony architekturze, rzeź-
bie, malarstwu, ochronie zabytków, kościel-
nictwu i rzemiosłu.

Kraków, ulica Smoleńska 1. 9.



ZDRÓJ

DWUTYGODNIK ROŚWIĘCONY JETUCE I KULTURZE WYŚŁOWEJ

ROK 3 SIERPIEŃ 1919

TOM VIII ZESZYT 9-10

OGÓLNEGO ZBIORU ZESZYT 45-46.

REDAKTOR I KIEROWNIK ARTYSTYCZNY JERZY HULEWICZ.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: ZDRÓJ — POZNAŃ PLAC WOLNOŚCI 17.

TREŚĆ: Odejście Ralfa Moora — Emil Zegadłowicz. Krzykiem błędnym rozszarpuję przestwó, Utonąłem w cichym morzu bezmiernego placzu — Zenon Kosidowski. Woda — Z „Dawieków” Kandinaj spolszczyła W. H. Ucieczka centaurów — Josá Maria de Heredia (spolszczył Władysław Brodzikowski). Legenda o św. Balbinie nieznaney — Jarosław Iwaszkiewicz. Kompanja — Wilam Horzycza. Jabłuszko d’Ania — Francis Jammes (tłom. Halina Ostrowska). (Dokończenie.) Manifest — Kazimierz Wierzyński. Tolstoj — Thea Sternheim (spolszczył Olwid. Okrzyk pulsujący. Nowy uśmiech. Żywot — Jerzy Mieczysław Rytard Miscellanea: Józef Tokarzewicz — E. Z. Gottfried Keller — Dr. Wacław Moraczewski. List do redakcji — Dr. Wacław Moraczewski. Odczyt Przybyszewskiego. Wycinanki. O tradycrach Wielkopolski. Poranek ekspresjonistyczny. O pomniki w Poznaniu. „Polska Flota Napowietrzna”. Uroczystość Teatru Poznańskiego.

RYCINY: Portret St. Przybyszewskiego — Artur Swinaraki. Drzeworyt — Wasyli Kandinskij. Święta Balbina — Jerzy Hulewicz. Żniwa, Wniebowstąpienie — Otto Lawrenz. Zesłanie Ducha — Artur Swinaraki. Drzeworyty oryginalne: Jerzy Hulewicz i Artur Swinaraki.



Portret St. Przybyszewskiego (drzeworyt oryg.) — Artur Swinaraki.

1940 K. 200

ODEJŚCIE RALFA MOORA

EMIL ZEGADŁOWICZ

Ścichło morze.

Rozniosła się burza na skrzydliskach wiochrzanych —

Ocean dyszy ciężko;
chrzęst twardy:

— rycerz nadmiernym bo-
jem utrudzony — ku ciała
odpocznieniu, ducha po-
krzepieniu — spowił się
w sen złotych zbóż;
kwitną habry — —

Świt.

Wzmaga się pobiel.

Tężeją błękitem mgły i opary rozchwane —

Budują zamki i grody zwiewne na wi-
dnokrężnej linii —

Róż; opale; tęcze — —

Wpiera się siła barw w napięcie osta-
teczne —

Zamyła nieba grę morze patyną modrą
i zieloną —

Płomienie.

Chmury — ognie ofiarne.

Złoto; fiolet; purpura.

Zszywa się kędyś błękitny klin w kon-
tur odległych wybrzeży;

wyspy nieznanne.

To znów

w nagłym zwianiu rozbrzmiewa miedź
błyszcząca —

rwie się chmur spoistość —

rozpryskują się barwy —

tają kolory —

Zwidzenie; misterjum.

Wizja przedwiekowa Ziemi.

Fatamorgana pierwotnych przemian —

— wody wzburzone ogniem wną-
trznym —

— wytryskują gejzery kipiące —

palmy potworne —

— strome, poszarpane złomy nieza-

stygłych skał —

— szczyby dziwowskie wybrzeży —

— łamie się ląd, rwie i zapada się

w war syczących ukropów —

— wyspy chwilowe —

— jeziora roztopionej lawy —

— wulkany przemawiają ogniem —

— pożoga —

— spala się niebo i morze —

— płonie, żertwami bucha, głównie
roziskrza i na wsze strony rozmiata —

Sanctus!

Sanctus!

Sanctus!

Zwolna — zwolna —

ścichają barwy — —

Akord: modlitwa — oczekiwanie

— Spłyn Duchu Święty —

Tęsknota bezmierna.

Spokój żywiołów.

Złoto

(— jedynie —).

Rozsuwa morze szlak jasny — pod nie-
bem szlak jasny rozdzwania —

Cisza — —

Nagle!

— Przed tak wielkim sakramentem —

Błysk!

Oślepiająca jasność!

Szalona pieśń!

Hymn ognia!

Hejnał!

Zew!

Żar!

Olśnienie!

Stopiły się klucze i zamki

— zapadły w głąb —

— drży fala —

Wyparły się bramy z zawiasów — —

Kaja się duch —

Zachwytem spowiada —

Stół Pański przyładzon.

Błogosławieństwo:

oto jest ciało moje —

oto jest krew moja —

.....

SŁOŃCE!

Pokój wam!

(— darzy przymierzem —).

W łasce narodzonego Cisza zagaja gwar
wszelki —

Przesuwa się widzenie w przestrzeń
złotą.

Cisza!

Szepcą złomom granitów fale: hosanna.

Niebacznym przestroga:

— rycerz nadmiernym bojem utru-
dzony krzepi się jeno snem chwilo-
wym;

hasło pierwsze: wstań!

hasło drugie: na bój!

hasło trzecie: zwycięstwo!

Lecz oto chwili tej

odpocznienie i pokój żywiłom wszel-
kim niczem nieskażony —

Słońce wynagła swój krąg ponad osia-
dłe chmur zwały —

Zauwiają się fale mgły,

mgły bladoróżowe:

zapaśnik dziarski

zrzuca ranny strój — —

ktoś zacz?

Za bary — na pięści — dys-
kiem —

jakkolwiek chcesz — —

Znów w któreś dziś —

odnowa

jak przed wiekami

Słońce

zapoczyna zdobywanie przestwo-
rza — —

Posłanie życzliwe do Duchów Jasnych!
Wyświeśla się dzień.

— — — — —

Na wybrzeżu —

tłumy —

uczestnicy obrzędu:

Odejścia Ralfa Moora.

„Niepokojący!”

„Młodzieniec prawie!”

„Kochanek tajemniczej Lod!”

„Kapłan: „Soli invicto” bractwa Słońca!”

Pogłos przyjazny: „Święty Jan Nowej
Wiedzy!”

„Alchemista? Astrolog?”

— Nieznaczące fragmenty wiadomości — —

(— — „tak! tak!” — prawią w dy-
szkurach śród odpocznienia przed-
domnego mieszkańcy sławetnego
miasta Biopolis;

niewiasty w fartuchach krzyżują ręce
na piersiach;

mężowie zaci w kamizolach ręce
w kieszeniach nagrzewają;

kiwią głowami).

Dziś —

\ jasno i poprostu rzeczono: „Ralf
odchodzi!”

Zaciekawienie —

dokąd? — więc? — — ach! przecież
to — —

Punkt zborny:

(— któż zdradził? wtajemniczony? —)

Świątynia korynckimi kolumnami oko-
lona —

wydatne gzymasy cienia powieści tęgich
cykl tryglifowego fryzu —

Ralfowy twór,

budowania jego —

Wjarza się napis w marmurze złotem
ryty, kowany cnie:

— DEO NASCENTI —

.....

— Pszczoły na wyroju zlatują się do
matki —

tłumy —

— obsiadają co nągęściej gałęzi na której
przysiadła —

tłumy —

Wzrastają; coraz więcej; coraz więcej;
bez kształtu, barwy, twarzy:

masy;

nowe gromady —
 gromady
 ze wszech stron
 od miasta! od miasta!

Ciekawość; zapytania;

niepokój.

Streszczenie (— z zewnątrz —): nagła,
 niezrozumiała, nierozumna gestyku-
 lacja;

ruchy ukrytych, przeknowanych py-
 tań pełne;

przedewszystkiem:

żądne wieści oczy; —

Oczy!

Gwar; rojny rechot;

— przycicha — —

a wtedy słychać plusk fal u skał
 nadbrzeża —

a wtedy słychać sypki tupot zdą-
 żających —

Szepty;

w pół urwane zdania —

myśli przetrącone —

krążą z ust do ust.

Na szerokich dłoniach podają sobie wie-
 ści niepewne, dziwaczne;

zatrzacone; bezświatłne; bezmrocne;

nijakie;

nie parzą, nie mrozą;

wreszcie — — —

Wreszcie zbiegły się słowa (— tajone
 brzmienia —) w jeden szereg uchwytne
 sensu —

ujawniły się prawdy pożądlivością
 bezwzględna w najprzystępniejszym
 pytaniu:

— co się dzieje? —

Rozchylają się wargi —

Tysiączne usta mamrocą —

Załopotały słowa:

— co się dzieje? —

Ulga!

Pewniejsze (— bardziej dokonane —)
 ruchy;

kruszy się maska lęku;

udobność zgładza histryona zmarszczką;

tu i owdzie uśmiech (— niewołany zaiste —)
 wydłuża wargi czyjeś,

gaśnie —

zdmuchnięty płomyk — —

— — co się dzieje?! —

Tak!

Chcemy wiedzieć!

Musimy!

Po to przybyliśmy

(— uświadomienie nagłe przesunięte
 w à priori —)

Skwapliwie: po tę odpowiedź jedyną;

nic więcej; nic więcej;

już bojaźń nami nie władnie;

nie władnie nami już lęk;

nic; nic; —

Odpowiedzi; Odpowiedzi!

Rozkaz bezwzględny (— konieczny —);

żądza wyjaśnienia kategoriycznego.

Miał je ktoś snąć —

miał je w zanadrzu ukryte —

ktoś blisko widowiska stojący

(— boć poczęło się już ono —)

wyjął ukradkiem —

rzucił w tłum —

rozplynęło się w zbiegowisku

(— kręgi fal —)

Zachłysnął się tłum wieścią:

— JEDEN Z POMIĘDZY NAS ODCHODZI —

— — odchodzi — —

Rozniosły się te słowa

(— liście jesiennych wichrów roz-
 wiane podmuchem —) —

wzbiły nad głowami jękiem,

płaczem,

trwogą,

(— dzwony rozpacznych bólów wa-
 łące obuchem —) —

opadały nisko w mrukiwy poszust

(— jaskółka lot wiodąca nad wód
 graniem głuchem —) —

wytryskały nagłym rzutem krwawego spazmu
 po jasny błękit

(— gejzer, ogień, krzyk ziemi ztrwo-
 żonej bezruchem —).

... zmlka wicher ...
 ... niewładem opadają liście ...
 ... opadają w błoto i żwir ścieży ...
 Zakał też słów tych sens najgłębszy na
 dnie strapiionych pomysłów.
 Zakołysał się tłum, zachwiał pod tchem
 sprzecznych uczuć.

Szamota się kędyś po najtajniejszych
 przedruchach myśli

złowrogi żal,
 bezsilna skarga;
 zatruiwa wolę;
 rozwiewa się
 w niewidny czad;
 przepada.

Wysuwają się głowy,

wydłużają szyje;

natarczywe oczy:

och! znaleźć potwierdzenie lęku!

Ścisk;

gwałt;

wpiera się jeden w drugiego —

wznoszą się na palcach —

a oto — patrzcie — oto tam

na tle świątynnych kolumn, białych ścian —
 widzicie?

ON.

Twarz blada

(— rzeźby Praxytelesa —),

długie, czarne włosy —

ostry profil wtętnia się w marmur wysłonecz-
 niony —

ręka;

długie palce

(— cyzelterskie formowania Benve-
 nuta Celliniego — Verocchio? —).

Miłosna pieśczęta w ujęciu obramienia
 rydwanu.

Oczy — noc na przedraniu —

— przewiany mrok,

— zwidziany świt,

patrz,

patrz —

— tak złoci się,

złoci słonecznie:

— DEO NASCENTI —

Człowiek:

(— mówi przecucie—):

— losy swe waży w świadomości
 mężnej;

— wedle woli swej postąpi;

człowiek — tajemnica;

człowiek — zagadnienie;

Sym b o l mocy patronującej świątyni.



Dracworyt oryg. — Jerzy Hulewicz.

Strzępy myśli — —

(— przegon chmur stada po burzy —)

Strzaża się świadomość —

Przetarł ręką czoło —

(— kiedyś... kiedyś...:

— złowiona myśl

zastygła w Lęku przed czymś cza-
 jącym się skrycie — —

Lęk!

Drży ręka;

palce szukają czoła —

splątana sieć, sieć, sieć;

placze dal wszelka i jękiem wicho-
 rym wyznaje trwogę przed czymś

czającym się skrycie — — — —

... kiedyś ... kiedyś ...)

Odetchnął.
 Słońce nagrzewa twarz;
 zagląda w oczy
 (— mroki krużganków w Sais —)
 Ziskrza się dal
 (— wiadomość najdalszych perspektyw —)
 — Otwórzcie się wierzeje mroków na
 przyjście jasności —
 — Rozewrzyjcie się wrota kowane
 — Zorze jutrzniane — pieczar podziemnych
 treść zaklnijcie w pochodnię przewodnią —
 — Evoel Nieznany! Nienazwany! —
 Dochyla się Duch brzemieniem postanowienia
 przytłoczon.
 Skądziś dolata: sugestia mówionych
 złud — —
 Słońce!!
 Topnieje bryła lodu —
 — jakoby łąk kwiecistych zaczyny —
 — jakoby zbocza wzgórz zieleniejące —
 strwożone pierwiosnki — zawilce —
 Wrażen bezpośrednich zewnętrzność —
 Bliż dosięgalna —
 (— wszystko tak jasne, zrozumiałe —).
 Świadomość — tłumacz leniwy —
 Zapóźnia się myśli konstrukcja.
 Nieukładnych, niezdarnych zdań róża-
 niec —
 (— modlitwo bolesna —
 — litanjo cierpień —
 — życie — życie —
 — wszechtajemnico —)
 Więc tak: dzisiaj!
 Szept: nigdy, nigdy — —
 więc:
 — Odchodzę —
 — Wyczekiwanie dokonania —
 — Oczy widzą: poranek, błękit, tłumy — —
 — Uszy słyszą: morze szumi — — roz-
 mów gwar — —
 — Chłodne ręce całuje słońce — —
 Goryczy smak:
 (— A oni gąbkę pełną octu, obło-
 żywszy izopem, podali do ust jego —).

Tuberoz woń:

(— śni złuda ogrojców przepych,
 tęczane kwiatów kobierce — —
 wśród nich procesja ślepych
 niesie: Widzące Serce. —)
 Pewność: nie dla mnie, nie dla mnie —
 (— patrzy w słońce
 z dna przepaści
 ranny orzeł —
 Zagoiż się skrzydło złamane?
 Wzlotów bolesne próby —
 Szarga się skrzydło w błotniskach —
 — W górze majaczy krawędź prze-
 paści —
 . . . a tam . . . a tam)
 Jeszcze chwila.
 Świątynio!
 Zwracasz mi złoto i biel!
 Stawiłem cię Temu, który jest wkoło
 i w nas,
 którego nie zna nikt.
 (— Duchu — narodzin najświętszych na-
 czynie:
 — RODZI SIĘ BÓG !)
 Dawniej —
 rozdroży hymn (— dziecięcy nie-
 domiar snu —): o Dobrem i Złem — —
 Dawniej!
 (— Duchu — narodzin najświętszych
 naczynie:
 — RODZI SIĘ BÓG ! —)
 Evoel Nieznany! Wielki! Pozdrawia
 Cię ten, który ma odwagę kochać Cię!
 Słowa:
 żarem uskrzydłone archanioły,
 mandorlę dostojną wyodrębnione:
 — — — — —
 Jesteś, któryś jest —
 We mnie jesteś —
 Komunią wizji utajony
 Extazą oczekiwany
 Święty,
 Święty,
 Święty,
 — — —
 Bliski —

— wszak we mnie jesteś —
któryś JEST

Duch Boga rodzący —
Duch Boga wywalczający —
Duch Boga z męki tworzący —

Daleki

zawrotnymi tanami przekornych chwil,
miljonem lat

pracą najstraszliwszą
zamieraniem i rodzeniem się

— — — — —

Przy Tobie, w Tobie, z Tobą wiecz-
ście trwać!

Zwierać Ci głębie i wyże,
wichry i ogień
z wszelakich zwiane stron;
spowiedź czynić!
upadki zarzec!
wzniesienia stwierdzić!

— — — — —
Przed ikonem Twym
— NIENARODZONY —

serce me płomieni się ofiarne.

O czci najgłębszej godnie świadom:
Duchu z oblicza wieczności odjęty,
zwalający form niedoskonałość,
doczesność przemijań —

Spalony ostateczną tęsknotą — —

O czci najwyższej godnie świadom:
Duchu Wszechświata

Jeden —
bezlikiem zgwieżdżony —
w Ziemię oto wklęty
ku ofierze:

za Życie wieczne,
za Wolność,
za Wyzwolenie swe.

Duchu — narodzin najświętszych na-
czynie:

— RODZI SIĘ BÓG —

Nieznany! Wielki! Jeden!

Pasowany majestatu Twego wołą
otom jest: rycerz Twój —

Z upadku i więzień ciemności
na Twe zaklęcie powstają —

Po burzliwej nocy długiej,
piorunami jeno rozświetlonej nocy:

— ŚWIT —

— hasło wszechwładnego życia —
Złoci mi wschodu rozblask płaszczy po-
kutny —

w złocistą zbroję hartu mieni —
Anachorety samowolny los wypełniam
harmonią najdosłojniejszych pieśni —
Słońce!

Wyciągam ku Tobie ramiona zwycięstw
łaknące i śpiewam woli mężnej psalm, w któ-
rym Imię Tego, który jest w nas spleta się
z ostateczną tajemnicą i prawem świadomości.

— Zmożone czarem pieśni milkną
swarliwe wichru poszumy i chmur
uległe gony —

— rzeki wstrzymują swój wartki
pęd —

— Zastuchała się ziemia

(— jednorożec

wychylił się z mroku boru —
na młakę wstąpił zamgloną —
gotuje się do skoku —

oczami metę mierzy — — — —)

— Pieśń — rumak uskrzydłony
rumak-gryf

młodością zuchwały —

— wolny —

pędzi poprzez lądy, morza,
nieba, gwiazdy —

(— tentent — rytmi!

Skok w Bezkrę!)

Radosne jest odejście moje!

Niechajże będzie taneczną swywołą!

Niewymuszone!

Samowolne!

Samowolne!

Poczęte nie z mroków
północy lecz z blasków południowych
słońce —

Płając ginie kapłan Apollina, gdy mu
igraszka muz nie starczy —

Nuże Hory zawiedźcie tan — skocznym
płasem wtórujcie mej pieśni —

Splotem wiotkich ciał uwieńczy ołtarz
ofiarny —

W teatrum Duchów poczyną się gra — —
Evoel

Nieznany!

Wielki! — Pozdrawia Cię ten, który ma
odwagę kochać Cię!!

Niewstrzymanym naporem strącają się
rozbłyśki pomysły —

Spad iskier rozżarzonych do białości —

Wichr z głębin przerzuca je wzwyż —

Stąd świetlaność ruchliwa, gwiazd gony
i zaplatania —

(— jaskrawe symbole strąconych
z skał tarpejskich —)

Czuwa świadomość.

W tem miejscu straceńcza strażnica:
życie lub śmierć;

namaszczenie błogosławieństw — to
jedno,

bezwzględne anatema — to drugie.

Poprzez stannice kresowe snuje się szarfa
przeżytych momentów — takich i owakich;

— jako zdarzy się właśnie —

bo konieczność czynu leży po-
za tem — —

Wie o tem Ralf —

świadomie czyni.

A zaś tu i tam: odruch —

(— ostatni pije haust wspomnień —)

— — — — —

(— telegraficzne znaki dokonania —)

Niewstrzymanym naporem strącają się
rozbłyśki pomysły —

Przeganiają się strzępy chmur —

(— skąd ten obraz...

... szare morze... gęste,

łódź znękana podróżą ponad siły,

rozdarłe żagle... zgruchotany ster...

ster... drzazgi...

a trza płynąć... płynąć...

kiedyż to? —

dokąd?

jak?

rozdarłe żagle, złamane wiosła —)

Ty?

Ty — tu?

Zarys i kształt: Ty!

Czyżby Łód białym uśmiechem witała?

Czyżby Łód białym uśmiechem żegnała?

— Czemże dziś te zapewnienia?

— Czemże ten pewnik?

— rzucane do twych stóp:

emblematy wyznań troskliwych —

Skon wszystkim!

I sen mój o tobie

i miłość —

chwile przeszłe i (— ongiś —) przy-
szłe —

oblędny szal —

Ralfie, Ralfie (— wpiera w siebie —):

wyгнаńcze —

(— tak! tak!

tajgi, tundry — —

— etapy....)

Wśród pól bezbrzeżnych

(— wkopuła się ziemia — puklerz

lodowy —

w opad nieboskłonu — —

— wymiar sferyczny —),

pustki mroźnej,

lodów i śniegów —

marzenie o dostojęństwie kwiatów.

Wyгнаńcze! —

— nie dotknąć ci ich żywą, ciepłą

dłońią —

— przeto są piękne jako żadne inne —

— przeto są radosne — jako nigdzie in-

dziej —

— przeto są wonne — jako nigdy nie
bywają —

— przeto, przeto — —

O śmiechu, szczodrego śmiechu godny
wyгнаńcze —

Kuglarzu krasy

zdobywaj niepokalaną obojętność

śnieżnych pól —

Zdobywaj!

Śnij kwietniane sny — —

Śnij —
 — zważy je mróz —
 — spruszy je śnieg —
 Śnij prędko, prędko — —
 Wyczaruj chmury, zorze, tęcze,
 ogrody — rajskich ptaków sadyby — —
 — — w przepychu złotobarwnych
 piór
 przelatają z gałęzi na gałąź —
 — opada kwiatowy pył —
 bieli zielen soczystych łąk —
 na rabaty róż i lilii
 opada pył —
 Śnij prędko —
 mroźne, północne burze nawiedzą
 ogród —
 (— rzeczono —)
 zarwą drzewa,
 strącą kwiaty;
 z żalosnym klangorem, z skwirem
 załkanym
 odlecą ptaki —
 odlecą — —
 To śnieg, to śnieg —
 już bieli się szalas twój —
 twa trumna —
 Tak owo zamrzesz arlekinie,
 wygnańcze śmieszny —
 w bezkresie śniegowych pól — —
 Świadomość —! — — Lęk! — — Bole-
 sny lęk! — —
 (— Dzierż moc!! —)
 Leć —
 dokąd, dokąd — —
 (czyliż wiemy „gdzie” —),
 wykaj u stóp —
 czyich, czyich — —
 (— czyliż wiemy u „czyich” —)
 ból życia — —
 (— za opłotami
 na wsi skraj
 w mroźnej szarzy
 wyje pies — —
 łańcuchem tardze — —
 ogniw zgrzyt — —

Skomli żałośnie — —
 wzмага jęk — —
 — — wyje, wyje — — —)
 Wygnańcze!
 Samotna myśli moja!
 — — — — —
 Oto było jawienie romantyczne.
 Drżąca struna poniechanych, zapomnia-
 nych skrzypiec:
 — te pola śniegowe skreślone słowem: wędrowcze!
 A potem
 (— pomyśleń zgany wir —)
 zarzucone uświęcenia tymczasowe,
 dotychczasowe —
 Najsroższy ból: — bliż —
 — . . . walenie się kościołów . . .
 — . . . kruszenie wież . . .
 — . . . łamanie . . .
 Doskonała radość — dal —
 z wszystkiego co istnieje:
 ISTOTA —
 Sprostala wąskości (— już dokonanego
 czynu — refleksja Ralfowa:
 jakoż zerwać przyrzeczenia chytne
 wdłonię w zewnętrżność — —
 Odchodzę —
 nie z tych innych spraw powodu
 wam dostępnych —
 z tej jednej powodu — —
 Kędy wzrok spojry,
 kędy słuch dotrze,
 kędy dotyk sięgnie:
 — dokon to doczesny,
 — gra niepoczęta — —
 Zaś uwiódł mnie krok mój w otocz oną
 zwianej różnorodności.
 Wklęła się we mnie powłoka —
 ukochały ją zmysły
 (— zmysłów karmą jest —)
 Stopniami zmysłów stapałem
 — budowle śniąc nietutejsze —
 Zwarłem się z chwilą wszelką
 (— zapasy i igry —) —
 chwilą sam będąc
 zaiste. (C. D. N)

KRZYKIEM BŁĘDNYM ROZSZARPUJĘ PRZESTWÓR

*Drukoryt oryg. — Arthur Swinarkh.*

W rozpaczonym wspinam się wysiłku
Na urwistych moich tęsknic złomach.
Z skłębionej pod stopami czeluści
Szczerkot świata hasa błaznów taniec
Wkoło mej skulonej duszy.
Pośród powszedniego rozgardiaszu
Beczy przeszłość ma
Rozległych dni litanje.
Krzykiem błędnym rozszarpuję przestwór
I zakrwawiam łuną nieskończoność.
Dłonią bólem w palce rozstrzępioną
Walę w nieba stęchły tynk.
Oczodoły wylewają pragnień moich
Stożkowate słupy wzwyż.

UTONAŁEM W CICHEM MORZU BEZMIERNEGO PŁACZU

Moich myśli czworogranne słupy
Niezmiernym mrocznym lasem
Milczą pieśń rozpaczną.
Przykucnięty
W przeogromny sen zastygły
Wpieram z oczodołów
Lawę srebrną w mrok.
Rozbudzony ostrokątną ciszą
Wkraczam po podniebnych stopniach
Na gwiazdzistych moich pragnień cokół
I pochodnią mej miłości rozkrwawioną
Szarpie obłądnego mroku żagle.
Ciskam roziskrzoną w ciemną dal
Pod postaci stopy jakiejś przeogromnej
(Krwawe światło klęcząc w modłach wznosi dłonie)
Jej ramiona w bólu i miłości
Rozprężone w ciemność.

* * * * *
Gdzieś w oddali brzęka szklanny śmiech
W rozgonach sprośnych
Jakaś naga dłoń kieliszek chwyta.

* * * * *
Utonałem w cichem morzu bezmiernego płaczu.

ZENON KOSIDOWSKI.

W O D A



Drewnoryt — Wasyl Kandakiv.

Szedł w żółtym piasku człowiek mały, chudy, czerwony. Osuwał się ustawicznie. Rzekłbyś: po ślizgawicy chodzi. Żółty piasek był to przecież — piasek bezbrzeżnej płaszczyny.

Od czasu do czasu mawiał: „woda — błękitna woda...” I nie rozumiał sam, dla czego to mówił.

Jeździec w zieloną, fałdzistą szatę odziany pomknął mimo na żółtym koniu.

Zielony jeździec naciągnął gruby, biały łuk, odwrócił się w siodle i wypuścił strzałę na czerwonego człowieka.

Strzała świsnęła jak płacz, by wtargnąć w serce czerwonego człowieka. Czerwony człowiek w ostatniej chwili chwycił ją ręką i cisnął na stronę.

Uśmiechnął się jeździec zielony, pochylił na szyję żółtego konia i zniknął w oddali.

Czerwony człowiek stał się większy i krok jego pewniejszy. „Woda błękitna” — rzekł.

Szedł dalej a piasek tworzył wydmy, pagórki ostre a szare. Im dalej, tem twardsze, bardziej szare, wyższe pagórki, aż wreszcie zaczęły się skały.

A człowiek przedrzeć się musiał między skałami temi, bo stanąć nie mógł, ni wrócić. Cofać się nie można.

Gdy zasię mijał bardzo wysoką, ostrą skałę, spostrzegł, że przykucnięty w górze biały człowiek, zepchnąć nań zamierza gruby, szary głaz. Wracać nie było można. W przesmyk wejść musiał. I poszedł. Kiedy był pod skałą, człowiek w górze, dysząc z utrudzenia, wymierzył ostatnie uderzenie.

I spadł głaz na człowieka czerwonego. Podchwycił go lewem ramieniem i za siebie cisnął.

Uśmiechnął się biały człowiek w górze i skinął głową życzliwie. Człowiek czerwony stał się większy, t. zn. wyższy. „Woda — rzekł — woda”. Coraz szersze stawało się przejście między skałami, aż wreszcie znowu zaczęły się równiejsze wydmy, te stawały się bardziej łagodne i jeszcze równiejsze, tak, że wogóle ich nie było.

Jeno znowu płaszczyna.

UCIECZKA CENTAUROW

JOSÉ MARIA DE HÉRÉDIA

*Pędzą, pijane szaleńcem mordy i rokoszy,
Ku stronnej górze, co ich schronienie osłoni;
Czują śmierć nieochybną, cwałem strach ich goni
I węższą łwie zapachy wśród nocnej pustoszy.*

*Tratują łby jaszczurkom. Wszystko wkrąg się płoszy.
Krząta, jary, źródła — nic je nie wstrzyma w pogoni;
A już się na dalekiej ciemnych niebios toni
Czub czarnego Peljonu i Olimpu stoszyszy.*

*Czasem jeden ze zbiegów szalonego stada
Gwałtownie dęba stanie, obejrzy się, bada
I dogania w tym samym skoku bratnie bydło,*

*Bo ujrzał jak krąg lśniący pełni księżycowej
Wydluża w ślad za nimi największe straszyszy —
Gigantyczny, potworny cień Herkulesowy.*

Spolszczył WŁADYSŁAW BRODZIKOWSKI.



Drzeworyt lit. — Artur Szwarc

LEGENDA O ŚWIĘTEJ BALBINIE NIEZNANEJ

W papierach pewnego lejtenanta marynarki angielskiej, który zmarł na febrę w czasie przejazdu przez Ocean Indyjski, znaleziono następne cztery listy, pisane na papierze z jego pieczęcią i nazwiskiem leczy bardzo niekształtnym i niewyrobnym charakterem. Zmarły podobno pisma te znajdował co pewien przeciąg czasu, odbite w dziwny sposób na swoim biurku. Zawdzięczając uprzejmości doktora Beardsley A. Turnera oryginały owych listów, mam w swoim posiadaniu.

LIST I.

Ja myślałam, że ty to Kukulala, nasze bóstwo. Bóstwo, któremu co wieczora moja stara babka stawiała garnek mleka. A mój nagusieńki braciszek przynosił z lasu takie fioletowe kwiaty, co ty je lubiłeś. Ale ojciec Anioł powiedział mi, że Kukulala to nie bożek. Mówił mi o prawdziwym Bogu. A ja jemu wierzę. Bo on bardzo mądry — ojciec Anioł. Raz on mnie się spytał o ciebie; spytał się tak brzydko: „no a ten marynarz, John?” A ja wiem, że ty nie jesteś John, ale ty jesteś św. Jan Chrzciciel.

Kiedy ty pojechałeś, to ja wcale jeszcze nie wiedziałam, że ty jesteś św. Jan Chrzciciel. Matka myślała, że ja będę krzyczeć i bała się bardzo, bardzo, a ojciec przygotował bambus. A kiedy ja przyszedłam z więzią bananów, to tylko spytałam się: „Czy to prawda, co mówi mój nagusieńki braciszek, że John już pojechał?” A gdy mi ojciec powiedział „tak” i matka powiedziała „tak”, to ja utłukłam jak zwykle manioku w mojej stępie; i dałam kurom jeść, i dałam kozom jeść, i dałam bratu jeść — a potem stanęłam na progu. I myślałam: „czemu pojechałeś?” A potem poszłam ku rzece. Szłam tą ścieżką, którą chodziłam codziennie. Rwałałam kwiaty, ale zaraz rzucalam. Węże na mnie syczały dzisiaj. Nie wiem skąd się tam węże wzięły? Dawniej nigdy ich tam nie było. Potem doszłam, aż na sam brzeg rzeki — tam, gdzie piasek taki złoty. Zostawiłam ślad swojej stopy na piasku. A potem palcem mieszałam wodę, i rzucalam na nią liście, i bawiłam się. A byłam smutna bardzo, bardzo.

A kiedy przyszedł ojciec Anioł, to mówił, że bym się modliła. I dał mi taki obrazek, i powiedział: to jest św. Jan Chrzciciel — a ja zaraz poznałam, że to twój obrazek. I mówię: „To John Marynarz”, a ojciec Anioł: „nie, to Chrzciciel, a nie marynarz; on wodą ludzi polewał. Trzeba żeby i cie-

bie polał”. A ja mówię (pamiętasz jakieś to na mnie wodą rzeki tryskał), a ja mówię, że już. I odtąd mi ojciec Anioł mówił dużo. I jeszcze mi mówił o Bogu i o Jezusie i o Duchu świętym, co jest biały jak ptaszek. A bardzo to mi się podobało. Zaczęłam chodzić do domu ojca Anioła. Tam pięknie jest bardzo, bardzo. Ojciec Anioł pokazał mi znaczki i powiedział co jest a, a co jest b; i inne też pokazał. A ja ojcu przyniosłam ljan kwitnących i miodu i bananów i kości. A potem to ja chciałam, żeby mnie nazwano John, jak ciebie, ale nie można. To mnie nazwano Balbina. To jest bardzo ładne zawołanie. A ojciec Anioł powiedział, że będzie pisał do Johna Marynarza, co tu był. Pytał, co mu napisać. Ale mnie nie trzeba pytać. Ja wiem, wiem, bardzo, bardzo wiem, że ty jesteś nie John, a święty Jan Chrzciciel. Święty Jan Chrzciciel ma takie same białe ciało jak ty, i ma włosy na biodrach jak ty masz, i ma oczy takie jak rzeka, i smutne oczy, bardzo — bardzo.

I ja prosiłam anioła, co stał przy mnie wczoraj, jak ja spałam, żeby on ci napisał to, co ja chcę. I on powiedział, że napisze.

I oto ja wstałam w nocy i poszłam. I siedzę na brzegu rzeki i patrzę w tę stronę, gdzie ty pojechałeś i mówię szeptem te słowa. A anioł je pisze u ciebie przy łóżku. Ty śpisz, a nic nie wiesz. A ja Balbina mówię tobie słowa moje, a ty je będziesz słyszał. A ja pójde sobie już do domu. Na piasku zostaną ślady moich czarnych nóg. Na twoim papierze ślady moich liter... a ty może pojechałeś, aż do nieba, a zawsze pamiętasz o Balbinie. A ja pójde ścieżką do domu w nocy i bez strachu pójde, bo będę mówiła kocham ciebie bardzo, bardzo.

LIST II.

Znowu anioł siadł na twojem wezgłowiu. A ja mówię jemu słowa kochane, słowa dalekie. I pytam się czemuś święty, a opuścił mnie. Nie wiesz, że ja już czytam, że mi ojciec Anioł dał taką książeczkę, co w niej napisane, jak się modlić trzeba. Do Kukulali nie trzeba się modlić, on jest mały bożek; on pije mleko, on lubi kwiaty. A duży Bóg lubi, żeby się modlić. I kochać. Ja bardzo, bardzo kocham ciebie, mój święty Janie. A ty nie wiesz, że ja mam nową suknię. Ale ojciec Anioł mówi, że nie trzeba się chwalić. I nie wiesz, że ja już opuściłam ojca i matkę i mieszkam w misji. Raz wróciłam tam do domu. Ale tam smutno, płakałam potem. Kukulala



Święta Balbina. — Drzeworvt orig. — Jerzy Hulewicz.

bez kwiatów, a matka płacze, a ojciec gniewa się. A ciebie nie ma. Tak mi się zdało, jakbyś ty był. Gdy szłam ścieżką do domu, to chciałam słyszeć twój krok za sobą. I słyszałam krok. To pewnie był cud. Ale słyszałam krok. A potem zamknęłam oczy i słyszałam twój śmiech. I twoje oczy. Kiedy śmiałeś się to miałeś takie fałdki naokoło oczu. Pamiętasz? A czy ty się śmiejesz tam kiedy? Ale gorzej, bo ja doszłam do domu i śmiałam się, bo myślałam, że to ty siedzisz przed domem. Czy chciałbyś siedzieć przed moim domem? Dałabym ci dużo bananów i dobrych bardzo, bardzo. Ja pamiętam jak ty krajałeś banany i śmiałeś się, że ja tak patrzę. A ja już byłam do komunji, a kiedy ksiądz Anioł dał mi Chrystusa, to mi się wydało, że to ty, święty Janie, dałeś mi kawałek banana, i było mi dobrze bardzo, bardzo, i zamknęłam oczy i słyszałam jak ty śpiewasz z aniołami. Bo ty przecie śpiewałeś i cieszyłeś się z radości twojej oblubienicy Balbiny. A ja teraz i czytam i jem i piję, a ciebie nie ma. A ja dawniej i jadłam i piłam, i ty byłeś. I podawałam tobie jeść. A teraz to już nie można.

A ja bardzo, bardzo jestem głodna ciebie. Ja w nocy nie śpię, ja chodzę na brzeg rzeki; ja kaszlę, ja jestem chora, a ciebie nie ma. Mnie smutno, a ciebie nie ma. Czy to tak dobrze święty Janie? Ojciec Anioł mówi, że Pan Bóg tak robi, żeby było dobrze. Ale to nie bardzo dobrze, że ja chcę ciebie widzieć, a ciebie nie ma. I ja płaczę bardzo, bardzo.

LIST III.

A teraz to ja jestem zupełnie chora. Ojciec Anioł dzisiaj do mnie przychodził i spowiadał i dał mi komunję. I pytał się jaki mój największy grzech. A ja mu powiedziałam, że może to grzech, że ja kocham św. Jana bardzo, bardzo. A on się śmiał i mówił, że to nie grzech. To dobrze. To może ja pójdę do nieba. Bo ojciec Anioł coś tak mówił. To znaczy, że ja umrę, a ciebie nie zobaczę.

Przyszła matka. I brat. Urósł teraz taki duży; już zabił antylopę. Sam. Taki mocny. Mówił, że nosi kwiaty Kukulali. Przyszedł Ojciec Anioł. Przyszło dużo murzynów i murzynek. I tych co chrzcili się i tych, co nie chcieli. A ty nie przyszedłeś. Ja bym ciebie powitała bardzo, bardzo. Jak Maryja Elżbietę. Ja bym ciebie pozdrowiła słowem Pańskim. Ja bym ci nogi umyła i ucałowała. Ja bym dotknęła ręką twoich włosów (one są takie jak kora starych drzew w lesie, kiedy słońce je oświeci). Ja bym dot-

knęła ręką twoich miękkich włosów, ja bym dotknęła ręką twoich bardzo miękkich włosów. A potem bym dotknęła ręką twoich rzęs. One są ładne. One są piękne. A potem palcem poprowadziłabym po twoich ustach. To dziwne jakie twoje usta podobne są pewnie do banana: takie suche i takie miękkie i takie wonne; a może i takie słodkie. A potem dotknęłabym twoich piersi; one są bardzo zimne i białe i takie gładkie jak ta sukienka, w której Ojciec Anioł modli się do Boga, do Matki Bożej i do ciebie. A moje piersi są czarne. A dawniej to one były gładkie a teraz wyschły; są wiotkie, jakby z nich wszystkie mleko wyssały złe duchy. Ale mnie nie potrzebne mleko, bo ja nie mam i nie będę miała małych, czarnych murzynków i one nie będą się kąpały z krzykiem w tej rzece, w której ty kapaleś swoje święte ciało. A potem ja bym dotknęła twoich białych nóg. Pamiętam jak one błyszczały w falach rzeki i teraz bym je pocałowała, jak ta fala. Bo one są dobre bardzo, bardzo.

Taka byłaby moja modlitwa. W mojej książce, co ja ją czytam, nie ma modlitwy do św. Jana. Ale mój brat i mój ojciec, jak modli się do Kukulali to kładzie mu dłoń na głowę i na piersi i na brzuchu i taka jest ich modlitwa. I ja także.

Ale ty nie przyszedłeś. Ale ja ciebie czekam. Oni modlą się za mną. A ja mówię im: „nie, nie, jeszcze nie umrę, póki nie przyjdzie święty Jan i patrzę w okno i mówię te słowa twemu aniołowi. A tam już robi się ciemno. Ale widać rzekę. I ścieżkę do rzeki. Ta ścieżka, czy ty ją pamiętasz? Mijałeś mnie na niej. Słyszę twoje kroki za mną — a może to ty idziesz teraz tą ścieżką. Może to ty... A ja długo chodziłam po tej ścieżce sama. I smutno mi było. Zrywałam kwiaty i modliłam się na książce i miałam nowe suknie i ojciec Anioł mnie kochał i mówił, że ja jestem dobra chrześcijanka, a ja byłam smutna i płakałam bardzo, bardzo i często patrzyłam w tę stronę, dokąd ty pojechałeś.

LIST IV.

A teraz ja już umarłam. W niebiesiech jest dużo, dużo świętych, o których nikt nie na ziemi nie wie. I ja z nimi jestem. Kochałam ciebie Janie. Teraz już dużo rozumiem, bo nie jestem czarna. Dużo rozumiem, ale nie wszystko. Nie rozumiem czemu jestem święta. I nie rozumiem, dla czego Bóg taki dobry. I nie rozumiem dla czego święty Jan Chrzciciel naprawdę tak bardzo do ciebie podobny, Johnie.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ.

K O M P A N J A

WIERZYŃSKIEMU I TUWIMOWI

Witacie mili, witajcie mi bracia
W tych czterech ścianach izdebki!
Witaj mi zacna zgrajo urwipolciów,
Kompanjo bez piątej klepki.

Mówił mi o was dużo wiatr wiosenny,
Mój osobisty znajomy;
Księżyc, co u was zgodził się na stróża,
Całe mi płótł o was tomy.

Mówił mi, żeście szelmy, szalały,
Że żadna rzecz wam nie święta,
Że na wasz widok drą starcy włos siwy,
Lecz śmieją się do was dziewczęta.

Nie dziw. Ten co noc oświadcza się gwiazdom
Słowami pierwszej miłości;
Jest zakochany po uszy i — zważcie! —
Wcale nie bez wzajemności.

I co wieczora, głośno, na dziw ludziom
Dank składa w wiązanej mowie
(Mówią po mieście, że z jedną gwiazd pono
Jest nawet jakby po słowie).

I tamten, gdy mu zabraknie księżycy,
W czas najciemniejszy ponowy
Gra serenadę pod zamkniętym oknem
Przy świetle lampy gazowej.

Serce mu drze się, jak papier, na dwoje
Łzy przenajświętsze z ocz plyną,
Choć wszyscy wiedzą, że nie ma kochanki
I że kochanką mu wino.

Tamtego znowu opętał bóg tańca,
Tańcem pod stopy świat garnie,
Tańczy mu miasto i tańczą ulice,
Tańczą mu domy, latarnie.

Tańczy mu księżyc po dachach kamienic,
Słońce po ścieżkach i drogach,
Tańczy mu szeroki świat bóg
I to nie za — na nog

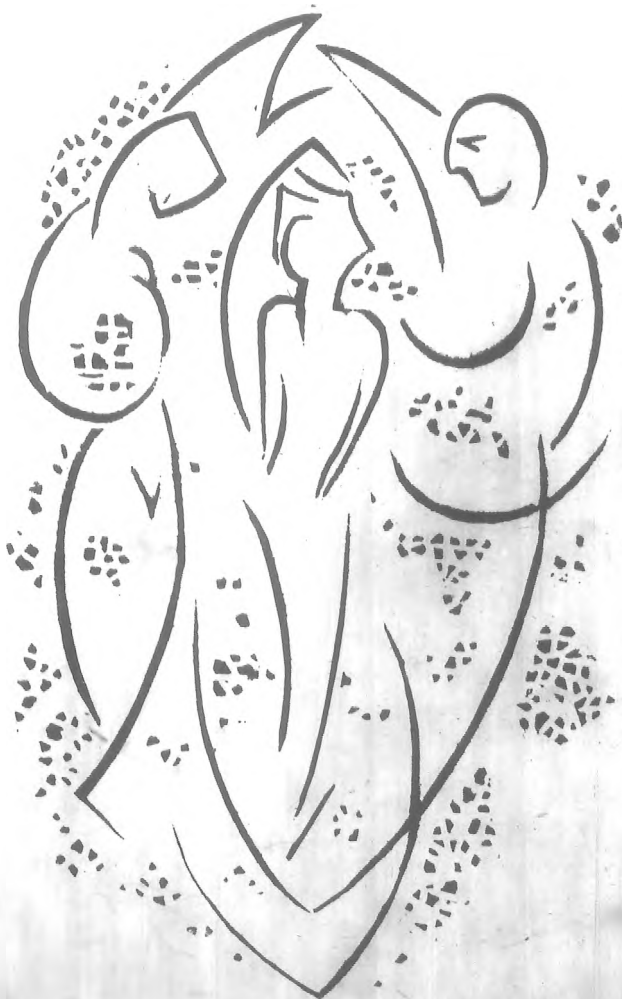
Na rękach nieraz tan — nim zawodzi
A czasem nawet na głowie!
Grubas pocziwy, świat — w ciężkich podrygach
Tańczy mu, jako bogowie.

Od waszych śmiechów, od tańców, od wierszy
I mnie już w myślach się kręci;
Czuję po drgawkach, że w nogach i w głowie
Coś niedobrego się święci.

Dziś wieczór wysłać spróbuję ku gwiazdom
Nieśmiały uśmiech na zwiady
A przez noc całą będę myślał, komu
Mogę tu grać serenady.

A gdy wyjdziecie stąd, będę napewno
Na środku tańczył izdebki.
Wasza to wina, nie moja, szalona
Kompanjo bez piątej klepki !

WILAM HORZYCA.



JABŁUSZKO D'ANIS

CZYLI

DZIEJE UŁOMNEGO DZIEWCZĘCIA

FRANCIŚ JAMMES
TŁOM. HALINA OSTROWSKA.

(DOK.)

Wuj Tom, Jabłuszko, Lucja, Mariquita i Juannez udają się do pobliskiego jaru. Lucja, zmieszana obecnością Juanneza zdaje się go unikać. Bo najpierwsza wstydlivość podobna jest tym kielichom kwietnym, co się zamykają przed ożywiającą je burzą. Ale młody człowiek rozmawia z panną d'Anis trochę poza resztą towarzystwa.

— Gdzie pan mieszkał panie Arnoustigny za pobytu w Lira?

— W pobliżu dawnej posiadłości d'Elgorriaga'ów, rodziny mojej matki... na samym rogu placu Świętego Jana, w stronie boiska gier.

— Ach!... już wiem gdzie. Lubię tę dzielnicę... Jej zapach gorącej oliwy i kopru, niosły, wiszące obok poświęconych palm i krzyki kobiet, sprzedających sardynki i dzwony San Marcialu...

— Pani długo bawiła w Hiszpanji?

— Nie... Dwa miesiące zeledwie... i tylko w Lira z wujem Tomem.

— Pani więc może pamięta tę posiadłość d'Elgorriaga'ów, o której mówię?

Jabłuszko się rumieni.

— Czy nie wznosi się ona nad morzem? — pyta.

— Tak, właśnie.

— ... I jest tam wielki smutny ogród, otoczony starym murem?

— Tak jest.

— I olbrzymia tarcza herbowa w kamieniu kuta, murszejąca nad bramą.

— Tak.

— ...Właśnie pod tą tarczą zerwałam złoty lak, którego pletek noszę w tem sercu z kryształu.

— Laki są herbami d'Elgorriaga'ów.

— D'Elgorriaga'owie pochodzą z Galicji, prawda, panie?

— Nie, pani... Z prowincji Murcyi, z Kartaginy. Byli korsarzami na służbie króla.

Jabłuszko patrzy na Juanneza, na jego oczy, barwy oceanu, na jego smagłąwą cerę. I żywa wyobraźnia dziewczyny przenosi go już do tych odległych czasów. Śmiały, giętki i piękny wdrapywałby się po linach okrętowych, dał się kołysać burzom, czatując na morzu... To szczególnie... To szczególne jaki on podobny do Lucji... z wyjątkiem oczu... Zdają się

być tej samej rasy... Prawda, że d'Atehuria'owie są Baskami...

— Panie Juannezie?

— Słucham panią?

— Nie uważa pan, że moja przyjaciółka Lucja jest bardzo — Hiszpanką?

— Bardzo.

— Prawda, że jest piękna?

— Bardzo piękna, w istocie... Ale pewnie oceniałbym lepiej jej piękność, gdybym w niej nie czuł tej samej rasy, co w sobie.

— Więc...

Nagle wuj Tom woła:

— Moja parnassia!

I wznosi ponad głowę kwiat świeżo zerwany, kwiat, którego łodyga posiada jeden tylko cudowny liść, a którego płatki zdają się dziergane i żyłkowane światłem, zdobne wewnątrz kitami złotawego i zielonego jedwabiu, nakształt tych, co chwieją się na metalicznie błękitnych łebkach paw. Patrzcie, patrzcie... woła botanik. To roślina Muz... Parnassia... W tym egzemplarzu, na który od dawna czatowałem, daje się zauważyć całkowity zanik pręcików... Chodźmy na poszukiwanie rosztek, podwieczorek zjemy później...

I Jabłuszko pyta Juanneza:

— Jaki jest pana ulubiony kwiat?

On odpowiada:

— ... Szary fiolek.

On pyta:

-- A pani?

Ona odpowiada:

— ... Złoty lak.

Wuj Tom zapala się coraz bardziej. Wypowiada cały odczyt nad roszkami, które właśnie wyrwał z rozmokłej ziemi i nad znalezionymi przy tej sposobności amonitami.

— Siadajcie — mówi — i urządzajcie sobie ucztę przy tem źródleku, na tym mchu, złotym od krokusów. Jakież to ciekawe... Spójrzcie, w tym jarze, tak przecie odległym od oceanu, ileż zostało nam muszel z potopu!

— To one tu są, aż od potopu? — pyta Mariquita.

— Tak, moje dziecko, od potopu... I kiedyś, kiedy morze tu powróci, gdy ponad szczytami tych

dębów ludzie znów zaczną żaglować, zadziwią się homary, znalazłszy w tych stronach... nową obrożę, którą ten dureń Piętaszek musiał znów dopiero co zgubić!

IV.

Babunia d'Anis i pani d'Anis haftują. Ciotka Wirginia des Arbailles, którą przypięła do czepka liljową petunję, rymującą z jej imieniem, i Jabłuszko robią koronkę. Wuj Tom poszedł do cieplarni.

Sierpień trwa jeszcze w wieńcu świerszczów i pszczoł w pełni winobrania. Przez okna salonu widać grzywy zbóż, lasy przepińczonych fletni.

Jabłuszko myśli o ostatnich dniach, które spędziła z Lucją... o Juannieze.

Po wyznaniu, jakie ten uczynił Jabłuszkowi, w jarze przy zbieraniu ziół, że ulubionym jego kwiatem jest ten właśnie, do którego wuj Tom porównał swą siostrzenicę, uczuła się wzruszoną do cna i zmieszana... Zwłaszcza, że Lucja d'Atehuria od chwili zwierzeń w sadzie fermy nie przestaje otwierać jej tajemnic serca teraz, pewność, którą zda się mieć sama zakochana, że jej przyjaciółka nie kocha Juanneza zmniejsza jej nieśmiałość, a w miarę, jak nieśmiałość znika, rośnie namiętność.

Zaś Jabłuszko jest zbyt subtelną, by nie zrozumieć, iż Juannez nie podziela bynajmniej tej miłości, mimo, że nadskakuje Lucji. I nie chcąc przywiązywać zbytnej wagi do uprzejmości młodego Baskijczyka Jabłuszko musi sobie przyznać, że z nich dwóch ona jednak jest wybraną...

Jabłuszko myśli.

Myśli, że gdyby nie była ułomną Juannez prosiłby może o jej rękę... Byłoby tak dobrze... O dwa kroki jedni od drugich... Juannez jest bardzo lubianym przez wuja Toma i mamusię... Juannez ożeni się młodo... Mówił to... Jego ojciec, bardzo stary, nie może się już zajmować dobrami Arnoustigny'ich... Zresztą młodzieńcowi może się i uśmiecha taki pogodny byt, co się poczyną o świącie ze szczeniem psów gończych, a kończy w godzinie, gdy spizowe serca uwieszone u szyi trzód bić przestaną... Ale to niemożliwe, by Juannez jak pokochał, bo przecież jest ułomną. Ułomna. Ona jest ułomna. Mój Boże, wybaw mię, myśli. Panie, Tyś uleczył paralityków, wrócił wzrok ślepcom, wskrzesił Łazarza, brata Magdaleny... Ona rozpostarła pod Twoje stopy włosy wonne, akapane we łzach... Mój Boże, czyniłeś te cuda w ciemnych kątach chat, albowiem kochasz ubogich... Mój Boże, możemy niedość ubodzy... Mój Boże, jeśli mnie Najświętsza Panna nie uleczyła w Lourdes, to może dla tego, że się nie urodziła w nędznym żłóbku i że nie leżała nago, nie mając

dla ogrzania się nic, prócz tajemniczego oddechu wołu i osła. Mój Boże, ofiaruję ci serce moje w złożonych dłoniach... Sprzedam szafir, który dała mi ciotka Wirginia i rozdám jego wartość biednym. Jestem Twoją służebnicą. Pragnęłabym móżdżek klęknąć przed Tobą, Boże, jak na błękitnym cieniu kamiennych płyt klękała siostra Magdalena des Arbailles, co wyglądała jak wielki paw...

— Mamusiu?

— Co kochanie?

— Czy byś się bardzo zmartwiła, gdybym Cię poprosiła o coś?

— Mów, moje dziecko.

— Żebyśmy się wszyscy udali do Lourdes na wielką pielgrzymkę...

V.

I jak za dni dzieciństwa jest znowu w Lourdes z babunią d'Anis, mamusią, ciotką Wirginią i wujem Tomem. I tak jak wówczas niestety! nie wiem jaki bolesny przypadek, jaki związek tajemny, jakie zaostrenie bólu w biodrze nie pozwala jej pieszo iść za procesją.

Ranek wielkiej pielgrzymki. Dzwony, te serca niebios, radzą: Kto wie? Może nawiedzone były tej nocy przez aniołów uzdrowicieli, a teraz dzierżą wiec. Ze swego łóżka Jabłuszko widzi niebo górskie i nie wie, czemu jej oczy wilgotnieją radością. Zdaje się jej, że widzi poza ziemią ołtarz raju, ołtarz jaśniejszy niż noc wigilijna, ołtarz, załamujący się pod piwoniami blado-liljowemi jak śnieg.

Po południu niosą ją na ramionach we czworo: dwóch nieznanymi młodych ludzi, wuj Tom i Juannez, dźwigający nosze. O! biedne umęczone wówczas serce Jabłuszka...

Wielki dzwon grzmi w słońcu. Sygnaturka mu odpowiada, woła do Boga, dziewczęcym głosem pierwszej komunji. Tłum rusza się, ustawia, rozwija jak rzeka ognia, unosząca złote ornaty. Dusza cierpienia wzlatuje w suplikacjach. Cyklon kadzidel, światła i hymnów wznosi się w błękity, które sobą pochłania. Kalecy, rakowaci, chorzy, których choroby nie mają już nazw, wnoszą rozkrzyżowane ręce ku oszalałym dzwonnicom. Jakieś dziecko w wózku: ma oczy i nos przeżarte trądem... A wąty głos dzwoneczka wyróżnia się wciąż z pośród ogłuszającego bicia innych dzwonów, zdaje się prosić Boga o swą cząstkę wieczności. I jakaś nieznaną dobroć unosi się nad tą nędzą.

Jabłuszko góruje ponad tłumem. Ze swych noszy spostrzega obnażone głowy mężczyzn barwne chustki i czepce kobiet, klonące się w powiewie, jak żagle łodzi podczas burzy. Teraz czuje się szczęśliwą,

ledwie kołysana przez Juanneza i wuja Toma, jak muślinowy kwiat u stóp Pańskich.

W chwili podniesienia zdaje jej się, że umrze pod ciosem miłości Bożej. Dreszcz, podobny temu, który budzi grzmot organów, przebiega przez jej ramiona, przechodzi we włosach, jak lodowaty wiew.

Mimo zanurzenia w basenie kuleje jeszcze, ale w chwili, gdy Juannez wznosi nosze, na których ją znów ułożono, dziewczyna czuje, że uszko jej pieści ton niemieli słodki od hymnów śpiewanych. I słyszy głos z nieba może, co jej szepce:

— Kocham Cię.

Powraca, szalona milcząca radością. I całą noc jej sen jest boskiem majaczeniem... Jest z Juannezem w Toumbuktu. Młody misjorarz z białą brodą, zapewne brat Sebastian błogosławi ich związek pod płomiennymi lianami. A z drzewa, podobnego drzewom ziemskiego raju, zmarła siostra Magdalena Odkupicielka rozpościera między listowiem swój tren błękitno złoty.

Ale za powrotem do dworu Jabłuszko ogarnia zniechęcenie, równe uniesieniom dni ostatnich. W tym samym salonie, gdzie prosiła matkę o wyjazd do Lourdes myśli znów o Juannezie:

— Nie kocha się ulomnej, mówi sobie... To liłość przemówiła w Juannezie... Juannez nie pokochał jej miłością... Tylko musi mieć serce miłosierne... W sandałach swoich, burnusie i berecie przypomina pielgrzymów, co szli do Ziemi świętej... Tak, tak... Przypomina sobie, że w Lira przyglądała się długo tarczy d'Ellgorriaga'ów... Były tam godła pielgrzymie... Przodkowie Juanneza musieli chodzić przez cieniste drogi, co wiodą do Bompostelli i przez spalone pustynie Palestyny... Juannez odziedziczył po nich to zamilowanie wspomagania chorych... To dobry samarytanin... Jako cenny balsam na ranę cierpiącej uronił te słowa: Kocham Cię... Ale to nie jest miłość; to nie może być miłość... Bo, gdyby to była miłość, byłoby ją to uraziło pewnie... A tymczasem uczuła w głębi serca tylko słodycz wdzięczności... jak zezwolenie Boże...

I myśl, że liłość tylko kierowała Juannezem, gryzie dziewczynę. Ona, co wątpiła jeszcze niedawno o miłości Juanneza ku Lucji d'Atehuria, wierzy w nią teraz. Nie przez obojętność to dla Lucji, myśli Jabłuszko, młody człowiek wyraził się tak w poetycznym jarze, gdzie wuj Tom zbierał swe ukochane kwiaty... Nie... poprostu w nadmiernej dobroci pragnął oszczędzić kalece przykrości, wyróżniając przy niej tę, której zwinne i silne nogi deptały jak winograd tańce hiszpańskie...

Tak, to z pobudek zbyt wzniosłych dla doczekań, w duchu miłosierdzia, poświęcenia i liłości, gdy

widział, że kulejąc wracała od źródła, Juannez w Lourdes wyszeptał te słowa...

Jabłuszko chroni się do cieplarni. Pomaga niekiedy wujowi Tomowi. Nasienie heliotropu, wzięte z egipskiego sarkofagu zakiełkowało. Tak serce skupia się niekiedy długo zanim rozpęknie. Ale wówczas szuka rosy, jak i roślina, a gdy rosy nie znajdzie, prosi Boga, by je napaścił łzami.

Raz w szare popołudnie przypadek zrządził, że Jabłuszko znalazła się w cieplarni sam na sam z Juannezem, który dla nie wiem już jakich powodów wyprzedził swą siostrę Mariquitę. A wuj Tom został właśnie wezwany do dworu w sprawie jakiejś dzierzawy.

— Zostawiam was samych, moje dzieci... Zabawiajcie się przyglądaniem ostatnich stronic tego zielnika...

I Juannez z roztargnieniem otwiera zielnik, gdzie na pierwszej stroniczce rozpościera się wspaniała parnassia, zerwana w dniu, gdy Juannez dał do zrozumienia Jabłuszku, jak słodkim ją darzy uczuciem.

— Pamięta Pani?... Pamięta Pani? powtarza.

A że ona milczy:

— Czy Pani pamięta, że Ją kocham?...

Nielogiczne to, a jednak szczerze tego wyznania rani dziewczynę. Jej zbyt długie rozmyślenia, — niestety! pokrewne zazdrości — zbudowały bolesny system, dający się streścić w tem: Jestem kaleką. Nie mogę wzbudzać miłości. I jeszcze: Juannez kocha mnie przez liłość. Gdyby nie to, poślubiłby Lucję...

Jednak dygoce, jak źródło w słońcu. Co odpowiedzieć?...

O! Mój Boże, nie przewidziała...

Juannez mówi jej:

— Chcesz oddać mi rękę?

Jabłuszko wyciąga doń prawą dłoń, przekładając do lewej łaskę z hebanu o główce cyranki. Ale wnet, rumieniając się, cofa rękę, którą dała. Dwie łzy toczą się z jej szarych oczu...

Nad jednym z ciepłych basenów cieplarni dwa kwiaty chyłą się miłośnie ku sobie. Tym nic nie przeszkadza się połączyć, gdyż tknięte są niewinnością Bożą.

O, ziarna, które górski wiatr przenosi na skrzydle, czy będziecie dziećmi gorzkiej gencjanny, czy ożywczej jagody, jednaką posiadacie słodycz w zaślubnej godzinie pyłków przy radosnym brzęku pszczoł.

— Lauro, mówi dalej Juannez, nadając poważnie pannie d'Anis jej chrzestne imię... Lauro... Czy chcesz być moją żoną?

Jabłuszko czyni gwałtowny wysiłek. Odpowiada cichutko:

— Nie...

i upada maleństwo... Wypuszcza z rąk swą biedną

laskę... Juannez podtrzymuje w ramionach omdlałe dziecko i czuje na swej krzepkiej piersi drobne piersi dziewczęce i serduszek ledwo bijące.

Przychodzi do siebie.

— O, moja miła, pyta Juannez... moja miła... Czy skrzywdziłem Panią?...

— Tak, nie trzeba już mówić o tem... nigdy... nigdy... Ja wiem... To niemożliwe... Przrzekłam Bogu... Nie będę nigdy niczyją żoną... O, Juannezie, przyrzeknij mi, że nigdy nie będzie mi Pan mówił o tem?

— Nigdy... Ale Pani zostanie mi przyjaciółką, prawda?

— Będę panu... siostrą.

W wonnej ciszy ciepłarni, na stygmat kwiatu begonii, co nie ma jednego płatka, osa strąca skrzydkiem pocałunek złotego pyłu.

VI.

W kilka miesięcy potem podczas ранego spotkania, jakie wyznaczyły sobie dziewczęta w połowie drogi od obu dworów na plebani w Noarrien u dziadka Jabłuszka, Lucja jej oznajmia:

— Moja droga, radość rozrywa mi serce...

P. Juannez Arnoustigny prosił o moją rękę...

Jabłuszko rumieni się lekko, lecz odpowiada tylko:

— O, kochanie...

Ale wewnątrz zalewa ją fala chaotycznych myśli:

Czemże jest wszystko? Gdzie sens tego życia? Co ona robi tu, ona, Jabłuszko d'Anis? Czemu jest w tej jadalni, takiej zimnej? Jakże to jej dziad Hubert ma odwagę mieszkać tu? Jak ta stara, głucha służąca, co zapala ogień w sąsiedniej kuchni ma siłę zajmować się życiem codziennym? Cóż z tego, czy się umiera z zimna, czy nie? Jakże smutny jest zgrzyt studziennego łańcucha!... A oto tu kurczątką, chroniącą się pod stołem w jadalni. Chowają się pod kurę. Biedne maleństwa! Jekże to żalosne... Zabijają je kiedyś... Zarznę... Czy to nie lepiej było umrzeć niż się urodzić kaleką?... Są tu różę Bengalskie pomimo zimy... Co to są różę bengalskie? Przypomina sobie bajkę wuja Toma o wrzocie kalece. Wargi ma suche. Głowa ją boli...

Odpowiada, nie zważając nawet na to, co mówi:

— O kochanie... Jakżem szczęśliwa...

— Tak, wiedziałam, że będziesz szczęśliwą, bo jesteś z tych, co się cieszą szczęściem drugich... Jesteś równie piękna jak dobra... Przyznam ci się...

Zanim mi powiedziałaś, że nie kochasz Juanneza... wiesz, w tej zagrodzie, gdzie są białe indyki... wyobraź sobie... byłam zazdrosna. Ach, moje Jabłuszko najśladzse... wybac mi. To było jedyne brzydkie uczucie, jakie żywiłam względem ciebie... Ale to przecież było mimowolne... Pokutowałam za te myśli... spowiadałam się z nich, mimo, że nie byłam ich panią... Wiesz, że jest się samolubnym, gdy się kocha... Ach, widzisz jednakże, gdyby cię był Juannez kochał i gdybyś mu się odwzajemniła miłością, myślał. O, najśladzsa moja, żebym ci była ukryła swą miłość ku niemu... i myślę, że, gdybyś go uwielbiała, a on ci nie był wzajemnym, to bym mu odmówiła swej ręki, aby ci oszczędzić przykrości...

Mały kotek wskakuje na kolana Jabłuszka, którą pyta:

— Czy mówił ci, że ma zamiar prosić o twą rękę?

— Tak. Tydzień temu zaledwie... Powiedział mi...

— Powiedział ci?

— Powiedział mi: Czuje się teraz bardzo samotnym w domu... Mariquita wychodzi wkrótce za mąż... Ojciec nie dzierżawi już majątku... Miewam chwile niezgłębionego smutku od kilku miesięcy. Czuje, że pani będzie żoną pewną. Żywię dla pani uczucie nie miłości gwałtownej, ale sympatii bardzo żywej... Zdaje mi się, że w małżeństwie ten rodzaj uczucia lepszym jest od nierozważnego, gwałtownego kaprysu.

W kącie, powolne miedziane wahadło wielkiego zegara błyszczy, idzie tam i z powrotem w swej klatce z drzewa zdobnej w płomienne tulipany i złote krokusy, jak kadzielnica, kołysana ręką godzin. Słychać trzaskanie, palącego się w kuchni drzewa i ciężkie kroki dziada Huberta ponad jadalnią. Jabłuszko pyta:

— To wszystko, co ci powiedział, najmilsza?

— Dla czego pytasz?

— Tak sobie...

— A to ciekawka! Powiedział mi, gdy wiedział już, że się zgadzam: Panno Lucjo, nie będę może zbyt wesół w pierwszych czasach. Winieniem uczciwości mej wyznanie, które chcę pani uczynić... Prawie wszyscy młodzi ludzie mieli serdeczne zawody, które ich zraniły... Trzeba trochę czasu, zanim się te rany zabliznią... Lecz jestem pewien, że pani będzie najlepszą z pielegniarek...

— ... A wiesz jaki to był zawód?

— Więc... tak... Próbowałam się trochę dowiedzieć... To chyba jakaś panna, którą znał w Paryżu, bo dodał: Jedyna osoba, o której mogłem myśleć po za panią ślubowała Bogu...

VII.

Ślub panny Lucji-Herminii-Annuncyaty d'Atehuria z panem Juannem-Tristanem Arnoustigny odbył się w małej kapliczce w Noarrien o jedenastej rano jedenastego marca tysiąc dziewięćset trzeciego roku.

W pobliżu tej kaplicy, ukrytej wśród lasów dziewczę, zwane Klarą d'Ellibense skonało w szaleństwie i jeszcze wokoło tej kaplicy błdził często przyniesiony bólem poeta. Niektórzy mówią, że widzieli go, wiodącego za rękę dziewczę ciemno-włose w wieńcu cyprysów. O co prosił Boga oboje? Ale któż wie o co się prosi Boga?

Jabłuszko sama wręczyła Lucji, w imieniu wuja Toma pomiędzy innemi darami rozkwitły wreszcie

heljotrop, wzięty ze śmiertelnego łoża egipskiej księżniczki. Organy zabrzmiały. Mowy zostały wygłoszone. Leśne ptaki aż do stołów zastawionych w śpichrzu zleciały dziobać chleb, który Bóg zsyła najuboższym.

Ale po skończonej uroczystości, wieczorem, gdy Jabłuszko i wuj Tom zostali sami w tajemniczej cieplarni, wstrząsa głębokie łkanie dziewczęciem, odzianem różowo, jak wrzos-tulaczy. Czy zrozumiał wuj Tom? Być może. Bo, trzymając w ramionach Jabłuszko d'Anis, sam wybucha łkaniem na jej słowa:

— O wuju... Jakżem nieszczęśliwa... obetnę włosy... Będę Odkupicielką, jak siostra Magdalena... Będę wyglądała, jak wielki paw.

K O N I E C .

*Browałyl oryg. — Jozef Kulonias.*

M A N I F E S T

Precz z poezjami! Z duszą tromtadrata!
Niech żyją bzdurstwa, bujdy, banialuki!
Dosyć rozsądku! Wiwat trans warjata!
Życie jest wszystkim! Niema żadnej sztuki!

Dosyć bezpłciowych literackich stylów,
Form, psychologii, manier, problemów!
Dzisiaj pegazem: czwórka krokodyłów
Gryząca w pyskach swych orzechy światów.

Dziś gra się słońcem fooball-match ogromny!
Bóg strzela gole — po ludzku, wspaniale!
Dziś skok na ziemię z nieba karkołomny,
Cesarskie cięcie i saltomortale!

Dalej, Kolumbie! Odkrywaj Europę!
Jest trzeci między dwoma biegunami!
Świat się zamienił w kolosalną szopę
I wszystko chodzi do góry nogami!

Literatura kona w dzikich krzykach
A tłum się śmieje, śmieje do rozpuku!
Kpy jakieś tango tańczą na pomnikach
I wieszczom wrzeszczą: terefere-kuku!

Perł już nie chcą jeść wybredne świnię,
Hop, krzyczy smarkacz nim zrobi dwa kroki,
Miód z ptasim mlekiem w wodociągach płynie
I jeden ogon mają wszystkie sroki!

Szlag trafił wreszcie raz strachy na lachy,
Jak trawa rośnie — słychać w całym mieście,
Ziarnkami grają ślepe kury w szachy
I Meksyk leży sobie w Budapeszcie!

Na dłoni rosną włosy, brwi i rzęsy,
Święci tureccy chodzą stale w fraku,
Przedziwnie mądre są wszystkie nonsensy
I ludzie rodzą się dziś w szapokłaku!

Łącz się holoto! Hurmą do szeregu!
Pod słońcem błyska twoja ciemna gwiazda!
Bij, zabij! Razem pierwsi lepsi z brzegu!
Wal krokodyla! Pegaz rusza! Jazda!

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI



Знамен (древнерусский стиль) — С. С. Лавров

T O Ł S T O J^{*)}

THEA STERNHEIM

Poeci jak Werfel i Francis Jammes strzegli za dni naszych łagodnego płomienia miłości bliźniego, płomienia, który nie zagasł od Ewangelji poprzez czasy św. Franciszka z Assyżu. Od czasu jednak, jak świat obraca się pod znakiem krwi, a wszelkie cielesne i duchowe siły narodów wyczerpane są w celu osiągnięcia szczytu nienawiści, nie stało miejsca dla łagodnych. Zupełnie nagle stracili prawo bytu. Opinia publiczna narodu uważa, że są oni nie na czasie, jeżeli nie zgoda godności się sprzeciwiający. Oni usuwają się w samotność i milczą. Nie powinni jednak milczeć w godzinie, w której pasja pewnej kategorii ludzi dosięga zenitu.

Chrześcijanin czysty czuje się dotkniętym w nerwie swego życia, w swej miłości. Chociaż mu dołąd dowodziły zdażenia codzienne, iż praktykowanie jego poznania napotykało trudności, to jednak spostrzegł, że razem z piętrzeniem się tych trudności rosła liczba możliwości ich przezwyciężenia. Pojawienie się człowieka jak Vincent van Gogh lub Dostojewskij, świętego jak Tolstoj, upewniało go w tem mniemaniu. Dowodziło, że siła słowa nie umiera, lecz się bezustannie odradza w nietkniętej substancji. Wydało mu się przedziwnem i pocieszającym, że właśnie z kraju wolnościowego zacfania, z Rosji — płynęły najczystsze źródła nowoczesnego chrześcijanizmu. Wybuch wojny zdruzgotał obuchem podstawę jego nadziei. Prawo władzy państwowej do każdej osoby, które to prawo czasu pokoju w oczach chrześcijanina zgodne było z jego poznaniem — zmusza go teraz do bolesnej decyzji. Na miejsce jego Boga wysuwa się inna potęga i prawa mu dyktuje, które sprzeciwiają się prawom dotychczas jako prawdziwe uznanym. Miłuj nieprzyjaciół swoich, błogosław tym, którzy cię przeklinają, dobrze czyń tym, co cię nienawidzą — mówi Chrystus. Nienawidź nieprzyjaciół twoich, zniszcz ich — mówi państwo. Żaden dogmat nie zdoła zarzucić mostu nad przepaścią dzielącą postulat Ewangelji od dzisiejszych państw, sakrament żaden nie potrafi ukończyć meki jego sumienia, a jeżeli czysty chrześcijanin nie będzie umiał za swoją ideę pójść do więzienia, na śmierć może, będzie znosił wojnę jako baranek na rzeź prowadzony, a ust nie otworzy.

Lew Tolstoj przewidział katastrofę, która nawiedziła teraz chrześcijanizm. On widział, że wojna w okresie przymusowej służby wojskowej żąda dla chrześcijańskiego sumienia zgoda innych rozstrzygnięć niż w czasach, kiedy państwa pozostawiały ludziom wolność chwycenia lub niechwycenia za oręż. W pismach: „Chrześcijanizm a patriotyzm” albo „Patriotyzm a rząd” i w dramacie „Światło świeci w ciemności” rozstrzyga Tolstoj ów konflikt w niedwuznacznych słowach.

Niedawno jeszcze z powodu niezrozumienia rzeczy lub jednostronnego wartościowania sztuki wydawało się niepojętem, jak Tolstoj-poeta mógł w latach mądrości pisać książki takie, jak wyżej wymienione lub jak „Wykład Ewangelji”, albo „Co nam czynić wypada” — nie mówiąc wcale o huraganie oburzenia, jakie praca jego „Czem jest sztuka” wywołała w kołach inteligentnych. Czytaliśmy z satysfakcją ów list umierającego Turgenjewa, w którym zaklinał swego przyjaciela, aby nawrócił do literatury. Dzisiaj niezliczone tłumy kalek, nędzarzy i trupów dają nam odpowiedź, dlaczego jeden z najbardziej po wsze czasy podziwu godnych artystów do literatury nawrócić nie mógł. Mimo iż danem mu było (jak Molierowi i Daumierowi) zgłębić najsłabsze poruszenia ludzkiego serca — wystarczy uprzytomnić sobie nowele „Panowie i słudzy” i „Kozacy” — mimo, że z swoją „Anną Kareniną” stoi obok Flauberta a „Pokojem i wojną” mierzy się z mistrzem Goethem, nie czuł się zadowolonym, lecz zmierzał do oddania się nam jeszcze bezpośredniejszego niż to, na jakie pozwalał mu dotychczasowy jego twór artystyczny. I tak druga połowa jego życia staje się jednym gorącym nawoływaniem do opamiętania, nieznuzonem żądaniem miłości u ludzkości. Płomiennosć słowa łączy z skupieniem swego wieku z obawą, że nie dosyć kochał.

Jaka jednakże potęga zdoła narody do miłości nakłonić, jeśli nie potrafił tego dokonać twór tego wyznawcy, twór, który nosi stygmaty Prawdy? Czyż fakt, że nawet taki Tolstoj przeszedł bez ogólnego wrażenia, nie usprawiedliwia obawy, że myśl Chrystusowa została wyparta ostatecznie przez nacjonalizm? Czyż dzisiaj nie ponoszą śmierci za tę ideę miliony mężów tak samo, jak męczennicy pierwszych stuleci na śmierć szli za Chrystusa?

Nie tu miejsce na wzajemne odważanie dwu tych ideałów. Trzeba tylko stwierdzać bezustannie, że obok siebie istnieć nie mogą, lecz wzajem się wykluczają. Najwyższe wyrobienie się narodowej świadomości pociągnąć musi za sobą agonję myśli chrześcijańskiej. Człowiek będzie miał do wyboru Chrystusa, albo narodową ojczyznę.

*) Artykuł powyższy ukazał się w roku 1916 w antologii „Das Aktionsbuch” i natychmiast znalazł się na indeksie pruskiej cenzury wojennej. (Przyp. tłum.).



„Zestanie „lucha” — drzeworyt oryg. — Halina Modrzejewska — Artur Swinarski.

Możnaby mniemać, że dążenia kast kierowniczych zwrócone są ku doprowadzeniu do tej decyzji w interesie Prawdy. W rzeczywistości jednak starają się one gorączkowo zacierać różnice i zawierać kompromisy tam, gdzie o kompromisach mowy być nie może. Cóż je obchodzi stan duchowy myślącego chrześcijanina, którego te kompromisy wtrącają w najtragiczniejsze konflikty? Czy kasty kierownicze zdawały sobie kiedykolwiek sprawę z tego, w jakim celu dziecko niemieckiemu, francuskiemu, angielskiemu i rosyjskiemu wszczepia się w szkole i w kościele... miłość bliźniego? Czyżby dla tego, aby dziecko to później, gdy podrośnie, w bitwę wysłać przeciw temuż bliźniemu? A może dla tego myśl dziecka kieruje się ku Bożemu Królestwu, które nie z tego jest świata — aby później za królestwa tego świata na śmierć iść musiało? Absurdem jest chcieć wychowywać chrześcijan tam, gdzie żąda się tylko żołnierzy.

Skoro jednak nienawiść zapewnia byt narodów, czego dowodem bezustanne wojny — niechże w takim razie narodów tych kierownicy zdobędą się wreszcie na odwagę odrzucenia precz od siebie maskarady miłości, by dla żądań swych zdobyć odpowiednią bazę religijną, podobnie jak to uczynili poganie, mahometanie i żydzi. Może wtedy uda im się rozdmuchać nienawiść do olbrzymich rozmiarów (w rodzaju Strindberga), aby przyszłym pokoleniom oszczędzić tak nieskończone nędznych widowisk, jakie oczom świata w latach wojny ukazała opinia publiczna wojujących państw.

Tylko Prawdy! Prawdy! Prawdy wreszcie!

Aby niezniszczalny, czysty chrześcijanin w każdym narodzie świadomym się stał swej odpowiedzialności; aby męki zrozumiał i krzywdy, jakie ściąga na dzieci swoje, ucząc je Chrystusowych nauk. Bowiem będą jako on: z prawa wyzute, trędowate, kamieniami obraży się staną w własnym społeczeństwie.

Spolszczył O L W I D.

OKRZYK PULSUJĄCY

W blaskach pożarów ras wędrujących
Ja paż jaskrawych realności,
Ja urodzony na śpiewających
Prądach młodzieńczej krzykliwości.

Jak te murzynki brązowe, młode
Dojrzewające na harfach dni dżdżystych,
Żyły mam pełne pomysłów krwistych
I ogni złotych dziecinna urodę.

Miałem w pierwszej, subtelnej epoce
Ciszę.
Na Kordyljerach — pawie.
Bawiłem się ustami, rubiny całowałem,
Widząc krwi swej pożary,
Na piaskach w słońcu w upale
Płakałem.

Świty wschodziły wspaniale.
A gdy na lądach wypadków różańce
Śpiewać zaczęły w barwie szkarłatu,
Gdy sine okręty, portów wysłańce,
Na horyzontach głośiły się światu ;

Zbudziłem się! —
Na fioletowych cieniach złotych bram
Pomysłem tęcz izochimenów.

W granaty strojny dojrzewał Sjam,
Ogień płonęły na brzegach Zelandji,
Gasły wieczorne modlitwy turkmenów,
Trawy koszono na brzegach Irlandji.

I dostrzegłem wszystkie fioletów sprawy
Na królewskich dywanach i wodzie;
Na widnokręgach o zachodzie
Biegnę w taniec jaskrawy,
Między deszcze upalne, pioruny,
Między orkiestry kolorów, zapachy,
Hymny, wiatry, bieguny!

Na kontynentów mglistych ramionach
Tańczę zbudzony artylerją świata,
Dzieciak namiętny w ogni pokłonach,
Zdziwiony niegdyś chłodem Piłata.

Bijąc w klawisze półwyspów i mórz,
Wieści śpiewam ze wszystkich stron,
Korowody świąt, różańce burz,
Na wyspach malajskich rybacki plon.

Rozumiem wszystkie twarde rzemiosła,
Legendy, książki znam,
Filozofje bez końca.

Lepsze są wiosła,
Połów, fajka skwiercząca
I ciało spalone od słońca!



Drzeworyt oryg. — Jerzy Hulewicz.

NOWY UŚMIECH

Starców siwych kuszą języki pożarów —
Młode murzynki dojrzewające w deszczowych porach roku.
Mieszkańcy pływających lodowych wysp posiedli o zorzy polarnej
kiężniczki hiszpańskie.
Na biegunie południowym wiją swe gniazda wśród śpiewu
ptaki rajskie.
W stalowo-rudych strumieniach chmur ryby bezłuskie śnią o ple-
twach z lśniącego jedwabiu.
Zbliża się czas modlitwy przedwieczornej.
Otulają mię tumany różowe.
Pieszczą smukłą, śniadą dłoń Marji świętej.
Pijąc dreszcze owadów ze stron południa stworzyłem nową roz-
kosz rąk.

Ż Y W O T

Z północy na południe
Dzień mój szeroki.
Uczę się ognie na swem ciele chwycić
I mieć je ciche w prądzie mroźnej wody,
Kpinami zbywać zgrzybiałe epoki,
I legend długich przekląć korowody.
Na kontynentach, hartując swe kości,
Dni będę wiedział i noce.
Posiadam wszystkie wspaniałe wartości.
Mając przed sobą oceanów drogi
Nad biegunami, równikami żyć!
Trzymając w garści wszystkie bogi
Tańczyć, śpiewać i wyć!

JERZY MIECZYŚLAW RYTARD.



Wniebowstąpienie (długoryt oryg.) — Otto Laurens.

MISCELLANEA

JÓZEF TOKARZEWICZ

um. 2. sierpnia 1919.

W księgach ewangelicznych Romantyzmu, którego donośne echa wykołysały duchowy kształt ś. p. Józefa Tokarzewicza, czytamy:

„Od stworzenia świata kolumny światła nie jaśniały na ziemi jak zajaśniały wakutek cayatego Entuzjazmu wśród Bitwy i-po Bitwie —
Wśród Bitwy i po Bitwie!

Oto wyjścia zapoczątkowany szlak dla całej świetlanej działalności Wielkiego Zmarłego — którego treścią wewnętrzną: Miłość Ojczyzny, którego hasłem: Praca, którego czynem: Miecz i Pióro.

Jak wielu z tej epoki — i Jego życie rozdzieliła się tem niewymownie bolesnem a charakterystycznym przełomieniem:

- do lat Powstania —
(z płomienną walki tej beznadzieją —)
- od lat Pcwstania —
w głuchej, obłędnej męce, poniewierce, chłodzie i głodzie, tęsknocie śrącej — —

W rozdrożeniu, w podwójni życia tego — wspólność z epoki awiej braćmi.

Lecz i porównań koniec!

Bo oto Twórczy Duch Hodięgo nie został w wielkim poehedzie: naprzód!

Poprzez więzień kazamaty petropawłowskie i kronsztadzkie, poprzez etapy emigracji, poprzez zawody najróżnorodniejsze — przesywa się złota, dźwięczną strzałą myśl: nie koniec! służyć do ostatniego tchu!

- I służył wiernie —
- I służył owocnie —

W zapomnieniu morzu spoczywają snadę w walnej części one płomienne, dogłębnym żarem spłonione rozprawy, artykuły polityczne, społeczne, literackie, powieści, wspomnienia...

W pracy rozliku i różnaitości zwielokrotniła się niejako ducha moc i bogatą zasobnością plenna zmierzła w całokształtu IDEI kondensację —

Z żołnierza bojownika — wygnańca — wylania się człowiek pióra — powiedzmy odrazu — dobrego, szlachetnego, twórczego pióra — które poza tendencji zasłone mierząc w Szczyt — znachodzi niezawodny lęk w Żywem Źródle dla ślepych Pawłów i głuchych Gawłów.

Wszelhatronnoscia umysłu, prawem, cysstem sercem, wolą hartowną — wzbęia się Duch szukający i znachodzący — każdym twórczości pilnej momentem w kola machiny Życia polskiego od lat 1861 — do zmierzchu awych znoynych dni, które DZIEJE wyzłocili Zmarłychwstania SŁOŃCEM —

— przerzucą tęczy obłęk poprzez półwieki najarozszej niedoli.

A dzięki temu właśnie: tej treści szlachetnej, dzięki formie, w którą ujmuje jaano swe widzenia, dzięki językowi żywemu, którym spowiedź swą czyni — Dzieło Hodięgo daje świadectwo nieprzemijającej PRAWDZIE.

I oto z miejsca tego, które wyznaczeń wskazaniem zajął w lat przelocie Duch Czcięgodnego Zmarłego wytryska ożywczy prąd prawych zamierzeń i szlachetnych dokonań.

Pokolenia zół szepać będą.

Nie czas, nie pora potemu, aby nad świeżą ziemi raną wykazywać niepospolitą działalność i wartość ważką z działań ś. p. Tokarzewicza.

Hold jeno złożył! I cześć!!

Ducha — tężyzną spadku Jego krzepić!!

Płyn szczęśliwie — Duchu Czysty, Duchu Biały — — —

Słowami na początku cytowanych ksiąg ewangelicznych Narodu — zegnamy SZLACHETNY —

Ducha Twęgo

odlatującego w sfery wieczne, na niezmierzoną Świadomości rozświetl — w nieskończone dzierżawy:

„ — niech idzie w Pokoju i Siłę, prowadzony Wzechmoeną Prawicą po Świętej Drozdze Przeznaczenia awojego —”

E. Z.

GOTTFRIED KELLER

19 lipca przed stu laty urodził się w skromnym domku na Rindermarck w Zurychu człowiek, który miał zostać jednym z nieśmiertelnych twórców w dziedzinie myśli i piękna. Sława jego przyszła do kraju rodzinnego późno. Poznali się na nim prędzej i lepiej, bo w cichej ojczyźnie Kellera wyżyny tej poezji, na które wzbil się duch jego, niewielu były dostępne. Poznałszy go jednak, ukochali go i zrozumieli lepiej i głębiej ci włanie, spośród których wyrósł, których najpiękniejsze cechy w sobie akryształizował, których ducha i myśli był wyrazem. I kiedy rzesza akademicka na pogrzebie Kellera pochód z pochodniami urządziła, nie było już pewnie żadnego nie tylko między uczestnikami, ale w całym narodzie, któryby tego wielkiego poety nie kochał, nie czcił, za swego nie uważał. Dla innych teraz staje się Gottfried Keller nowym, inni go teraz odkrywają i powoli zaczynają oceniać.

Poezja bowiem Kellera nie jest ani bardzo popularna, ani dostępna, wymaga prawie wykształcenia, a przynajmniej nie byle jakiej kultury artystycznej, dla wyrafinowanych więcej posiada wartości niż dla ludzi szukających łatwych uciech. Gottfried Keller sam był człowiekiem uczonym, nie żadnym ptaszkiem leśnym, uczył się i kształcił sumiennie i długo, poznawał sztukę i filozofię, oddawał się malarstwu, ale cała ta wiedza głęboka i szeroka była dla jego geniuszu jakby tylko jakimś wspomnieniem, jakby tylko tłem, na którym wchodzi jego własne światło, nowe, silne i nieznane nikomu przedtem.

Zapewne, tylko ten, który poznał gorzko dół uczonego, mógł jak Keller kochać aseptycyzm i miał prawo go kochać. Tylko ten, który wiedział tak dużo, miał prawo przybrać ten ton prosty i skromny, tę naiwność i prostoduszność przejawiać, jaką tchnę jego utwory.

Poezja rozsądziła jakby ową formę starannie zebranej wiedzy, rozparła gmach tego kościoła i wyrzekła te dziwne słowa: dzień może być jak perła, a stulecie niczem. — Jest coś, co mu droższe nad wszelką wiedzą; jest coś, co mędrze od wszelkich ludzkich mądrości — tem jest jego szczęście, szczęście jego piękności, szczęście leżące w pocuciu awiej nieśmiertelnej aily, swego cudownego jasnowiedzenia. W wierszu Beethovenowi poświęconemu powiada poeta, że w czasach rozterki, kiedy przewalały się dzieje ludzkości — geniusz muzyki tworzył w cichoci swe dzieło wieczne — upadli tyrani, śladu nie zostało po nich, a dziś pieśń powstała wśród zgiełku wojny krzepi, upaja ludzi i nieśmiertelnym świeci blaskiem. Słowa te wyrzekł jakby sam o sobie; dziś, po ruinach wywołanych przewrotami politycznymi, wspomnienie o nim nie straciło ani mocy, ani świeżości. Moc jego poezji, doskonale dostrójona do całej postaci, do życia jego pięknego i pełnego bólu, polega na tem szczerem umiłowaniu świata w szeregach drobniutkich

i w zakresie ogólnym, na jakie tylko wielcy zdobywać się mogą. Życie mu było sprawą poważną, ale kochaną i piękną mimo tragizm. Świat mu był cudownym zjawiskiem mimo okrucieństwa i bezmyślności. Nie budowała go tu żadna harmonia, ani ład, tylko go bawiła jego karność: „Pij, oko, ile rzęsa strzyma, ze złotego przepychu świata” — mówi poeta. I słowa te nie są wyrazem sentymentalnego entuzjasty, tylko szczerego pracownika i męczennika na padole płaczu: „Śmierć się zbliża, życie mija — czegoż mi tak błogo na duszy?” pisał Keller na zeszycie aktów, kiedy porzucił urząd swój skromny pisarza miejskiego. W legendach i nowelach złożył Keller skarby iście greckiej pogody i piękna. Jakby łagodna jego dusza szukała i znajdowała usprawiedliwienie dla każdej śmieszności, potrzebę dla każdej niemocy, piękność dla każdego bólu. „Czyliżem rolę nieplodną? Aż, jam jest jak droga bita, którą ciężkie wozy jadą i bose nogi wędrują — a jeśli spadnie ziarno pienicze, porwie je ptasek i w górę z niem uleci”. On był piewą tych szarych dni wypadków i umiał odczuć wielkość drobnych rzeczy, umiał nauczyć miłować dzień powszedni. Święto i niedziela były mu co dnia i czuły jego wzrok napawał się urkiem tego, czego nie widzi zwykły zbieracz wypadków. A przecie nie był jaklejsz anielskiej łagodności, albo pozbawiając dla wszystkich, umiał drwić niemiłosiernie z podrygów poetycznych i karcieć banalność słowem ostrym, nieprzejeźdanem. Umiał bić w twarz ludzi, którzy na policzek zaśluzili. Nie był żadnym świętym lub udającym świętego. Umiał żyć i żyć całą siłą, rozumiał siłę i cenil tę siłę, która w drobnym kwiatku się mieści, tę siłę, która drzemie w ziarnie zachowanem w egipskiej mumii, tę siłę, która świeci w gwieździe, choć gwiazda przed laty w proch się rozpadła. — Mimo tej olimpijskości, mimo, że obcował całe życie jakby z duchami najwyższymi, miał Gottfried Keller dla swojej ojczyzny miłość synową i czułość kochanka. Skromny swój urząd pisarza sprawował wiernie i żądania przeróżne i życzenia obywateli oddawał w sprawozdaniach swoich, wymownie i mądrze uzasadniając. Nie była mu obcą ani dola ojczyzny, ani żaden jej zwyczaj, ani jej święto żadne. Pisał wiersze zdumiewającej piękności i głębi, żeby uczcić jakąś skromną pamiątkę. Tak wrosły w tę ziemię niby drzewo przepyszne, choć zdale widny, był tej ziemi nieodrodnym synem: i prosił, aby „najpiękniejsza gwiazda nad tą ziemią jego ojczyzną jaśniała”.

Lipiec 1919.

Dr. Wacław Moraczewski.

LIST DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze!

Od dwóch lat prawie czytam z wielkiem zajęciem pismo *Wasze* i cieszę się, że na tej drodze, której trudności i przykrości muszą być bardzo liczne, nie tylko nie zwolnił się impetu, ale raczej nabraliście siły i wielkości. Zadanie, które wówczas wygłosiłicie nie miało, tak nie miało, że aż Wam to za złe brałem i ośmieliłem się nawet wyrazić Wam zarzut, że się zbyt cznie powołujecie na Mickiewicza, zadanie to szczerne i wielkie spełniliście i spełnacie w myśl przyrzeczenia, które wówczas od Was słyszałem, że zamierzacie iść „crescendo”. Jakoż ten rozrost i rozkwit, bo tak chcę to słowo rozumieć, widoczny jest teraz dla każdego. Nie powiem, żeby wszystko, co umieszczacie w piśmie *Waszem*, było arcydziełem, ale tego wymagać nie można od żadnego pisma. Rozumiem, że umieszczacie czasami rzeczy, których wartość chciałobyście pozwolić ocenić samym czytelnikom, bo tak być powinno. Rozumiem wreszcie, że liczne utwory są tylko szukaniem drogi, są — ufam, że szczerze zamierzacie wyrazić uczucie, które nie mieszczą się w powszednich i opatrzonych i uświęconych formach. Rzeczy takie nie mogą

być ani dostępne dla każdego, ani „śliczne”. Tem większą zasługą *Wasze*, że macie odwagę je drukować, tem większą wdzięczność musi być tych, którym dalsze możność zarówno wyrażenia, jak i wysłuchania tych nowych utworów. Nie potrzebuję dodawać, że w piśmie *Waszem* znajdują się istotne arcydzieła, których trudno by znaleźć w innych tak zwanych literackich gazetach. — Nie byliście nigdy banalni, a ktokolwiek gorzący by się miał dzielami spotykaniem w waszym piśmie, tego zbudować musiały *Wasze* odpowiedzi, krytyki, głosy i rozpamiętywania. W tych złożyliście *Wasze* wyznanie wiary niejednokrotnie i za te słowa cenić *Was* musi każdy, komu drogą jest sztuka polska, etyka sztuki i kultura umysłowa narodu. Te uwagi *Wasze* zawarte na końcu „Zdroju”, drukowane małym drukiem, skłoniły mnie do wyrażenia Wam nie tylko szczerzego zachwytu, ale do zaproponowania Wam rozszerzenia tych uwag do rozmiarów krytyki społecznej bodaj w najogólniejszym zarysie. Ci, którzy sztukę prawdziwą kochają, nie mogą bezmyślnie patrzeć na bezczelności wyprawiane przez kabotynów politycznych. Artyści są najlepszymi znawcami życia i najlepszymi krytykami społeczeństwa. Oni to widzą i czują wszelką krzywdę i wszelki fałsz, który się panoszy, czy ukrywa. — I zaprawdę, ci, którzy istotnego dobra ludzkości pragną, ci, którzy chcą widzieć na świecie piękno zarówno w książkach jak na ulicy i w sądzie, ci są tak samo samotni, tak samo wyśmiewani, tak samo poniewierani jak wielcy artyści, jak produjący w dziedzinie twórczości. Dla nich i o nich należy się mówić czasami na łamach pisma *Waszego*, bo gdzieś umieścić się myśl lepszą, wyższą, nowszą, jeżeli jej przytułku nie da *Wasza* światynia sztuki. Dla ludzi kochających ludzkość i pragnących jej dobra, dla ludzi stojących ponad partiami i narodowością niema miejsca na świecie. Odezwą jest ich jedyną manifestacją, odezwą, którą podpisał Forel, Nicolai lub Spitteler i która tułać się będzie po piśmie na czwartej stroncej między ogłoszeniami o wyszcigach i modach. Pisma własnego nawet ten świat myśli europejskiej nie ma, nawet te kilka narodów nie zdobyło się na organ stały swoich zapatrywań, na stałą propagandę swoich idei. — Najekstremniejsze programy zdobędą się na pismo i nauczanie, ale ci, którzy chcą ludzkość naprawić, którzy człowieka chcą stworzyć i w człowieku, w jego umieniu upatrują przyszłe szczęście, albo przynajmniej przyszłą uczciwość świata. — dla tych ludzi nie ma miejsca na ziemi. Oni są istotnymi braćmi artystów, sami marzyciele i apostołowie, twórcy nowych prawd, „w koło których obraca się świat bez zgiełku”.

Nie myślę, że na to trzeba nowych współpracowników, albo nawet rubryki. Myśli budujące ludzkość nie są jak pompy pracujące z jednostajną wydajnością na minutę i godzinę — ale niech będzie wolno czasami wyrazić oburzenie albo radość, niech wolno będzie wyrazić zdanie inne, które się ciśnie do usta na widok ohdy stosunków ludzkich. Jeżeli jakiś jegomość wygłasza zdanie, że polska potrzebuje żołnierzy, powiedzmy mu, że każdy żołnierz jest mordercą i usprawiedliwiony jest jego czyn tylko w obronie życia; powiedzmy mu, że to, co się nazywa żołnierzem, jest nieszczęśliwym niewolnikiem pędzonym przemocą do zajęcia, od którego się starał wykręcić wszelkimi godziwymi i niegodziwymi sposobami, zajęcia, które go zmusza do zabijania takich samych jak on nieszczęśliwych chłopów, pędzonych batem lub pogróżkami śmierci do „walki” za cele, których nie rozumie, bo gdyby zrozumiał — nie walczyłby o nie. — Jeżeli się słyszy o projektach obrony celnej, powiedzmy głośno, że ta obrona ma na celu interesy kilkunastu bogaczy, że się sprzeciwia interesom większości, która mogłaby mieć towar tańszy choć obcy, a musi kupować droższy, bo własny; albo kupować gorzki zamiast lepszego. — Jeżeli się mówi o prześladowaniu lub nienawiści jednego narodu dla drugiego, po-

wiedzie, że takiej nienawiści nigdy nie było, że nienawidzić można tylko ustrój, tylko system, tylko władzę pewną, ale nie ludzi niewinnych, cierpiących, którzy w czasach zaciętych walk potrafili jeszcze z okopu do okopu mówić do siebie po ludzku i po bratersku. Ta krzywda, która się dzieje ludzkości na każdym kroku, niech piętnowana będzie przez Was, te odbyłki miłości i czystości ludzkiej, które tłumią rząd, które przeładują siepacze ludzkości, niech znajdzie obronę u Was. Ta niemoc umysłowa, która marnuje siły i bogactwa narodu, niech przez Was piętnowana będzie.

Wyrazy poważania załączam

Dr. Wacław Moraczewski.

ODCZYT PRZYBYSZEWSKIEGO

Wśród powodzi „naukowych” odczytów (które obok licznych widowisk kinematografów świadectwem są wysokiej kultury Poznania, jak stwierdza „Kurier Poznański”) — wśród licznie nawiedzających Poznań i okolice prelegentów w stylu Koperskich, Szkaradków, Chamców i innych Oraczewskich — raz wreszcie zjawiał się znowu człowiek, który słuchaczom miał wiele do powiedzenia, wiele do wyjaśnienia z najtajniejszych i najgłębszych zagadnień bytu.

Przybyszewski jako prelegent posiada tę wielką zaletę, że nie tylko tematem samym, ale i formą podania go umie dotknąć i najodleglejszych od dnia codziennego strun duszy słuchaczy, wywołać drgnienia, które może jeszcze nigdy do życia nie były pobudzone i zwrócić uwagę na zagadnienie najistotniejsze każdego człowieka, a jednak oden często bardzo oddalone. To też znaczna część słuchaczy Przybyszewskiego pochłonięta była całkowicie jego wywodami, albowiem niejednemu z nich odosłonił zgola nieznaną dotąd widnokrąg. Trafna i dobitna charakterystyka kierunku nauki ostatnich pokoleń, kierunku materialistycznego, unaocznia słuchaczom ostateczne kierunki tego bankructwo. Wobec rozwoju myśli o zagadnieniach pozamysłowych, wobec niezbitych dowodów słuszności też okultystycznych, dowodów częstokroć właśnie przez naukę materialistyczną stwierdzonych, ta ostatnia załamala się ostatecznie w obliczu majestatu wierzeń, żywych już przed kilku tysiącami laty i objawionych w wszystkich religiach czystych. I ośa triumfu odwiecznych wierzeń ludzkości, wypieranych przez naukę materialistyczną do rządu guseli i zabobonów, staje się tak oczywistym, że nauka dzisiaj już sięga do prażródła onych wierzeń — a w przyrodzie znajduje nań potwierdzenie niezbite i dąży już niezachwianie w tym kierunku, by wypełnić wytworzoną przez wielki przepaść między sobą a religią.

Przytoczone przez Przybyszewskiego przykłady odkryć i doświadczeń największych mężów nauki nie pozwalają już i największemu sceptykowi na uśmiech pobłażliwy, lub ułatwienie sobie własnego wobec okultyzmu stanowiska twierdzeniem, że „to tylko hipotezy”. Minęły już one przyziemne naukę materialistyczną czasy, w których królowało tylko namacalne i widzialne. Z wygody zmysłów wyszarpuje już leniwego człowieka okultyzm i opornych łekiem przepelnia, ale zarazem przysusza pójść za sobą.

To też dla tych wśród nas, którzy powstają i idą, dla tych pada jasne światło na wszystkie te wielkich duchów objawienia, które do dziś dla jednych były zgola ciemne, dla drugich tylko piękna słów i myśli igraszką. Dla nas więc przede wszystkim w całym blasku jaśnieje Słowacki. „Genezis a Ducha” i „Król-Duch” staje się nam objawieniem — słusznie też zakończył Przybyszewski myśli swoje głębokim cytatem z „Genezis a Ducha”.

Słuchacze, którzy z odczytu wynieśli w swe zacisze domowe nowy zasób wrażeń i myśli, by anuś je w duszy w dalszym ciągu, którzy zapagnęli poznać dzieła naukowe i twórcze wskazane przez prelegenta — niechaj nie pozwolą się zmylić: czy to zjadliwym pluciem „Kurjera Poznańskiego”, który nie umiejąc na ten temat nic powiedzieć, dopiero na skutek pytań czytelników swoich zdobywa się na wzmiankę, że odbył się wogóle jakiś odczyt Przybyszewskiego (patrz „Wycinanki”) — czy wywodami tych, którzy, nie umiejąc także nic powiedzieć, mówią dlatego, aby w ich piśmie nie brakło sprawozdania o odczycie.

I tak czytamy recenzję („Dziennik Poznański”), której autor woli analizować osobę prelegenta, niż jego wywody, o które potrąca tylko mimochodem, zaznaczając, że czyni to z braku miejsca. Czy tylko o z braku miejsca?

To zaś, co powiedział recenzent o Przybyszewskim, wymaga zasadniczego podkreślenia, aby czytelnicy „Dziennika” nie byli w błąd wprowadzeni, choć dla każdego znającego twórczość Przybyszewskiego jest to tak oczywiste, że nie powinno wymagać już wyjaśnienia.

„Przybyszewski wyrósł w czasie ubóstwienia nauki materialistycznej. To wycisnęło na nim piętno niezatarte. Nauka zaabiła w nim wierznięcia dzieciństwa i wydając na pastwę materialistycznego „światopoglądu”, uczyniła nieczłowiekiem”. Mniejsza z tem, że taka charakterystyka jest wręcz czemś przeciwnem od istoty Przybyszewskiego, wie bowiem niemal każdy uczeń szkół średnich, że nie było może człowieka w Polsce, któryby tak zajadło i uparcie zwalczał wszelaki materializm esy to w nauce, esy w sztuce, jak właśnie Przybyszewski. Ale najciekawwsze, że recenzentowi nie dopisało ucho do tego stopnia, iż wydało mu się, jakoby prelegent sam o sobie tak był mówił. Recenzent nazwał nieszczęściem prelegenta to, co dało mu całą moc twórczą i co było istotą jego twórczej walki przez życie całe.

Ala to tylko małe nieporozumienie! Zwracamy na nie uwagę dlatego, by ono niedosłuszenie wykładu nie zmyliło także innych słuchaczy, którzy przeczytali osobliwą tę recenzję. — Czytelnikom naszym damy wkrótce sposobność dokładnego zaznajomienia się z odczytem Przybyszewskiego na łamach „Zdroju”.

WYCINANKI

Ogłoszenie u wejścia do kościoła św. Marcina w Poznaniu.

Dnia 15 Sierpnia w dzień Matki Boskiej w Niebo wzięcia, o godzinie 9-ty od będzie się msza św. Bractwa Wątrzymiłowickiego a po Nieszporach przyjmowanie Członków w kaplicy Matki Boskiej bolesnej, uprasza się oliczne zgłoszenie się.

Zarząd.

„Kurier Poznański” nr. 190 z dnia 20. sierpnia 1919.

„Na zapytanie, dlaczego nie zamieściliśmy recenzji z wykładu Stanisława Przybyszewskiego, odpowiadamy, że tak a nie inaczej zniewoleni byliśmy postąpić w skutek postawy, jaką p. Przybyszewski zajął podczas wojny. Nie chodzi nam przytem o odmienne przekonania, jakie rzeczony autor wyznawał, apostołując politykę (aha! — red.) aktywizmu, obca nam bowiem jest myśl odwetu za to, że ktoś inne głosił zasady. Miaraodajnym raczej jest to, że p. P. nie wahał się na łamach polakożerznych pism niemieckich atakować obozu, który stanął po stronie przeciwniej Niemcom, i tamże z błotem zmagać ludzi tego obozu. To jest powód — zdaje się nam — dostateczny do wytlumaczenia naszego milczenia”.

Czytając powyższy charakterystyczny twór „Kurjera Poznańskiego”, istotnie podziwiać trzeba środki, jakich się chwytła prasa brukowa, by „umniejszyć” w własnym tylko mniemaniu) wielkość znienawidzonego przez siebie artysty. Nie skutkował satanizm — może próbować aktywizmu? Czytelnik „Zdroju” łatwo ujrzy ślady łączności tej metody z różnymi podkreślaniami przez nas objawami (przypominamy tylko zajadłą walkę o to, czy dyrektorem Teatru Miejskiego w Poznaniu miał być robotnik czy narodowy demokrat), których przedstawicieli pojęć niezdolni przepaści, jaka dzieli królestwo ducha od aktualności politycznych sporów. Nie naszą jest rzeczą rostrząsać przekonania polityczne artystów, ale wskazujemy na nowy ten dowód bezgranicznego chaosu kotłującego w mózgach naszych powszednich krytyków. Możliwy a boleśnym „Panie, odpuść im...” machnąć ręką, gdyby nie straszna szkodliwość szerzycieli tej zarazy. Próbować ugryść wielkiego twórcę przez wskazywanie na jego „grzechy” polityczne — na takie pomniejszanie pojęć zdobyć się może (nawet u nas) tylko kierownik t. zw. literacki „Kurjera Poznańskiego”, któremu od dawna wielki talent Przybyszewskiego nie daje spokoju w milej drzemce ducha.

Nawiasem dodajemy, że „Kurjer” działalności Przybyszewskiego poświęcał już całe łamy „krytyczne” po swym zatargu politycznym z tym autorem. Jest to więc pospolite kręćtwo, jeżeli dziś nagle uzasadnia swoje milczenie giestem pogardy dla politycznych przekonań pisarza.

Zresztą nie po raz pierwszy zaznaczamy, że wspomniana gazeta tak uległa w błocie politycznej żądliwości, że wcale nie uznaje za potrzebne choćby dziesięć wierszy poświęcić rzeczom odrobinę wznioślejszym od partyjnych wrzasków. Posiada ona wszakże bardzo zdolnego recenzenta farosowo-operetkowego, który w tym samym numerze z 20. sierpnia potrafi na temat operetki „Polska krew” zapisać ażalnie całe 7 łamów (!) kurjerowego felietonu. Więc nie papieru brak, ale krytycznego (przeciętnego choćby) pióra przy biurku redakcyjnym.

O TRADYCJACH WIELKOPOLSKI

W naczelnym artykule nr. 192 „Dziennika Poznańskiego” porusza p. F. S. Krysiak sprawę opinii, jakiej zajęła w Polsce i poza Polską kulturalny poziom wielkopolskiej dzielnicy. Zdaniem autora opinia ta jest krzywdząca. Na dowód przytacza wysoki rozkwit umysłowego ruchu w Poznaniu w połowie ubiegłego wieku z nazwiskami, które i my wymieniłabyśmy często wśród najlepszych. Kończąc czcigodnym nazwiskiem Żupańskiego, mówi autor artykułu, że „tak się wtedy przedstawiała lekcwowana i ośmieszana Beocja poznańska”. Słusznie. Ale dlaczego, — pisząc o późniejszych czasach, o ekonomicznym rozkwicie, nie pisze o tem właśnie — co stało się powodem „ośmieszenia”: o sprzeniewierzeniu się tym tradycjom, o tem, że po Żupańskim już nie było Żupańskich?

Złej opinii nie naprawia się powtarzaniem, że „jeszcze tak źle nie jest” ani powoływaniem się na przebrzmiałe niestety tradycje, ale rzetelnym czynem, właśnie przez one tradycje wskazanym. Najdziwniej zaś brzmi, jeżeli jako plus na korzyść umysłowego poziomu Wielkopolski w ostatniej dobie przytacza się fakt, że tu... urodził się (!!) Kasprzowicz i Przybyszewski! A któż to nie dwóch, nie trzech, ale szeregi całe Kasprzowiczów i Przybyszewskich wypędził daleko po za granice ziemi wielkopolskiej?...

Poranek ekspresjonistyczny (jak go niefortunnie nazwano) urządzony w sali przy placu Wolności nr. 11 dnia 27 lipca a powtórzony w tydzień później — dał zgromadzonej kul-

turalnej publiczności szkie obrazu współczesnej sztuki (coprawda przeważnie niemieckiej tylko) w luźnych, a jednak doskonale uzupełniających się wykojach. Próbowano na wstępie nie tylko udzielić „objaśnień” na temat nowej sztuki, wyrosłej na grobie impresjonizmu i fotografizmu — lecz puszczono się nawet na wątpliwy co do swych wyników eksperyment unaczynienia „psychologii ekspresjonistycznego artysty”. Bezpośrednio już przemawiały do duszy („ciekawe i miłutkie” — mówiąc pewnym żargonem) recytacje najnowszych autorów, jak Werfel, Lasker-Schüler, Stramm i ekspresja muzyczna reprezentowana kilku pieśniami i sonatą Vincent d'Indy'ego.

Nastąpił powszechny — ciska i skupienie. Z ścian patrzyły nie malowanki, a obrazy o gładzie twórczym, seś eo siłą burzy rwie ku zdobywaniu nowych globów.

O POMNIKI W POZNANIU

W „Dzienniku Poznańskim” pojawił się nowy pomysł zmierzający do tego, aby na cokole, dźwigającym do niedawna statuetkę Bismarcka, umieścić pomnik Dąbrowskiego. Pomyślowi temu sprzeciwiamy się zasadniczo. Przedewszystkiem żaden szanujący się rzeźbiarz nie podejmie się dokomponować pomnik do cokołu, ale ponieważ takie rzeczy zdarzają się z oszczędności, więc wskazać musimy na niebezpieczeństwo postawienia nowego pomnika-bohomazu, których w Polsce niestety tak wiele. Ale nie tylko o to nam tu chodzi. Nie uważamy za pomysł szczęśliwy, by w miejscu otoczonem przez gmachy mieszczące w sobie wszechnicę odpowiedni był pomnik militarny. Jeżeli Prusacy, odznaczający się niskim i niewybrednym zmysłem estetycznym, umieszczali w wszystkich swoich przybytkach nauki i sztuki swoich Fryców i Wilhelmów, choć ci z otoczeniem swoich pomników zgola nie mieli nic wspólnego, to nie naśladowujmy ich w tem.

Tę część miasta, którą obraliśmy na miejsce dla przybytku nauki, winniśmy stosownie upiększyć i nadać jej znaną holdu złożonego wielkim mężom nauki.

Jeżeli prawdą jest, co pisze autor projektu pomnika Dąbrowskiego, że „społeczeństwo wieńczy samo siebie, oddając zasługę swoim szynom”, to niechaj wieńczy siebie wieńcem godnym, t. j. takim, którzy nań rzuci światło wysokiej kultury. Niechaj więc społeczeństwo uwieńczy tym razem samo siebie nie tylko jednym monumentem, wyrwanym z otoczenia, ale niech cała część miasta stanie się jednym, zwartym i całkowitym wyrazem jego kultury. A któraż część miasta jest ku temu stosowniejsza od tej, która mieści w sobie kilka gmachów Wszechnicy (te zaś z czasem odpowiednio muszą być przebudowane) i Wielki Teatr?

Nie działajmy zbyt pośpiesznie, ale lekajmy się niewczesnego kroku, który przyszyłby pokoleniom zaświadczycy może o niedostatecznościach naszej kultury.

„POLSKA FLOTA NAWIETRZNA“

Patrzmy na pierwsze zeszyty nowego, jednego a niewielu polskich pism specjalnych, dwutygodnika poświęconego aeronautyce polskiej. Nie wchodząc w ocenę treści pisma, której skład redaktorów-fachowców zdaje się dawać fundament poważny, czujemy się jedynie zobowiązani zaznaczyć z przykrością, iż słów programowych Redakcji o gwarancji, że pismo także „pod względem zewnętrznej formy artystycznej stać będzie na wysokości swego zadania” — zeszyty pierwsze zdają kłam. Dwie tu są możliwości: Redakcja „Polskiej Floty Nawieterznej”, albo bardzo niewybrednie niską naznaczyła sobie „wysokość swego zadania” i uważa zewnętrzną szatę

pierwszych zeszytów jako zupełnie dorastającą do tej wysokości — albo też poprostu nieszczęśliwą kierowała się ręką przy doborze swych ilustratorów. Dość, że prócz wybrednego papieru śladu niema jakiegokolwiek artyzmu. Na „ozdobienie” np. pierwszego zeszytu układają się: 23 fotografie i 7 schematycznych rysunków. W okładkę włożono niemało starych finansowych, ale ani idźbła artystycznych. Niesmaczną wrzaskliwość oraz brakiem linii i nastroju barw przypomina ona (bez przesady) berlińskie katalogi wszechciotwarowe lub cen-

niki fabryki pneumatyków. Przykro, że i to nowe poznańskie czasopismo nie potrafiło stanąć na żadnym poziomie artystycznym.

Słyszemy, że w najbliższym czasie zacznie ukazywać się miesięcznik p. t. „Wiedza Techniczna”. Czy wygląd pierwszych publikacji „Polskiej Floty Napowietrznej” będzie dla nowego pisma palcem ostrzegawczym? Czy też do lańszucha poznańskich grzechów dołączonem zostanie nowe bolesne ogniwo?

UROCZYSTOŚĆ TEATRU POZNAŃSKIEGO

Z utrwalonej niziny wysiłonego lotu pierwszy ruch zbiorowy. Czy niepowstrzymana żądza szybowania po przestworzu bezkresnem? czy na złość uczynienie gniotącej przez długie lata obcej zmorze? Jedno i drugie odruchem jest ducha; wszelako nie równie wielkie i trwałe.

Czy to ruch ku dojrzanemu promieniowi, albo choć tęsknota za niewidzianym? Nad tłumnym orszakiem tych, o których mówią i piszą wiele, iż to łaknący są panowania ducha, pod sklepieniem theatrum nowouzyskanego, błakają się pytania owe, co to radeby rozwiązać zagadkę, azali w Graalowej Czarze utoną spieczone pragnieniem wargi — czy kapryśnie dotykać będą wysmukłej szklanicy taniego narkotyku?

Dzień uroczysty nie dał żadnej odpowiedzi (może nawet nie był powinien).

Przelewały się wartkie słów kaskady, a nad niemi leciały białe żorawie lotem ni to nizinnym, ni to podniebnym. Nawet próby szerokiego skrzydeł rozwiniecia sposobem Juljuszowych oktaw nie zdołały wzbic lotu wzwyż przystojnej linii środka.

Gdy zasię znakomity pisarz Białego Orła jał śpiewać martwej cikliwości strofy nieruchome, zdało się być dobrze, że solenna adoracja wysokiego kursu liczmanów i szelągów złamanych ma się ku końcowi.

Tak oto harmoniji zadość się stało, iż nie zmącił jej żaden wielki głos wieszczu. Tak więc stało się, że zrozumienie obopólne (piewców — słuchaczy) całkowite było.

Co zaś od siebie dał zespół teatralny, to wybiegało ponad oficjalność dnia uroczystego a znakiem było dobrej wróżby mimo twardość i oporność wielkopolskiego surowca.

Niechaj o dniu uroczystości nie potoczy się słów zbyt wiele, jako że o istotnej pracy drużyny artystycznej i duchowej z nią łączności społeczeństwa decydować będzie czas najbliższy.

Co wymagał ceremonjał, nie w nas jest, a obok nas. Teatru całkowita zewnętrzność... nie szukamy więcej ponad to, co być może. Wewnętrzności zasię sztuki doszukiwać się będziemy w najbliższym już rozwoju teatru poznańskiego, któremu życzymy wiele jasných chwil.

Oryginalne drzeworyty i akwaforty

Artystów: Jerzego Hulewicza, Małgorzaty Kubickiej, Stanisława Kubickiego, Stefana Szmaja, Władysława Skotarka, Jana Wronieckiego, Augusta Zamoyaskiego

➡ nabyć można za pośrednictwem naszym ➡

REDAKCJA „ZDROJU” — Poznań, Plac Wolności 17

„POLSKA”

PISMO TYGODNIOWE Z OBRAZKAMI,
POLITYCZNE, SPOŁECZNE, OŚWIA-
TOWE, GOSPODARCZE, SPRAWOM
LUDU POLSKIEGO POŚWIĘCONE.

Prenumerować można wprost z redakcji:

Warszawa, ul. Hortensji, Nr. 7, m. 21.

oraz

na wszystkich pocztach.

(Skrzynka pocztowa No. 64).

PRZEDPŁATA wynosi rocznie 10 mk. półrocznie
5 mk., kwartalnie 2 mk. 75 fen. miesięcznie 1 mk.

„SPRAWA POLSKA”

Tygodnik polityczny

:-: i społeczny :-:

Cena zeszytu 60 fen.

Prenumerata kwartalna 6 mk.

ADRES REDAKCJI i ADMINI-
STRACJI: ulica Szkolna 3., I. p.

BIBLIOTEKA „ZDROJU”.

Ukazały się trzy tomy „Biblioteki Zdroju”. Nabyć je można
w składach głównych „Zdroju” w Warszawie, Lwowie, Kra-
kowie oraz w administracji „Zdroju” i w „Ostoji” w Poznaniu.

- Tom I. Między wiosną i latem najświeższa godzina — Paul Claudel — 2 mk.
- Tom II. Samskara (opowieść) — Jerzy Hulewicz — 2 mk.
- Tom III. Ekspresjonizm — Słowacki i Genezis z Ducha. — Stanisław Przyby-
szewski — 4 mk.

W połowie września r. b. ukasie się nakładem Inspektoratu Wojsk Technicznych nowe czasopismo pod tytułem:

„WIEDZA TECHNICZNA” ⁶⁶ Miesięcznik ilustrowany Wojsk Technicznych Wielkopolskich

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Poznań, ul. Działych 7. Tel. redakcji przez Centralę wojenną, adm. nr. 2203

Naczelnym i odpowiedzialnym redaktorem: pułkownik Jan Skoryna.

Redaktor i kierownik literacki, ppor. Witold Hulewicz, lub jego zastępca, ppor. Przemysław Krackiewicz, przyjmuje w dni powszednie od godziny 10—11.

Prenumerata kwartalna 11 mk., roczna 40 mk., zeszyt pojedynczy 4 mk.

Ogłoszenia: 1/4 strony 50 mk., 1/2 strony 90 mk., 3/4 strony 160 mk. cała strona 300 mk.

Redakcja prosi o nadsyłanie odpowiedniego materiału. Za drukowane prace płaci honoraria.

PRO ARTE'

Pismo młodzieży literackiej
wychodzi w Warszawie 28-go każdego
miesiąca.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA :

Tel. 236 23 Złota 8, m. 5. Tel. 236 23
(codziennie od 2—3 po poł.)

W r. 1919 ogłoszono utwory:

J. Albińskiego — A. Bielyja — C. Breitara — S. Grabińskiego — W. Horzycey — W. Husarskiego — I. K. Młakowiczówny — J. Iwaszkiewicza — Z. Karskiego — J. Lechonia — M. Niklewiczowej — Z. Reuttówny — J. A. Rimbaud'a — A. Słonimskiego — J. Tuwima — K. Wierzyńskiego — W. Zawistowskiego.

Nowości!

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ: **Okto-
stychy** 400 numerowanych egzem-
plarzy; okładka rysunku A. Sło-
nimskiego 5,— mk.

ANTONI SŁONIMSKI: **Sonet** — okład-
ka rysunku autora 3,50 mk.

— **Harmonja**, wieniec sonetów, 200
numerowanych egzemplarzy, okład-
ka dwubarwna rysunku autora . . 5,— mk.

— **Czarna wiosna**, poemat rewolu-
lucyjny, 400 numerowanych egzem-
plarzy, okładka rysunku autora . . 5,— mk.
(cały nakład obłożony areztem)

JULJAN TUWIM: **Czyhanie na Boga** 6,— mk.

— **Sokrates tańczący** (w druku)

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI: **Wiosna i
wino** 3,30 mk.

:: Żądać w wszystkich księgarniach. ::

Fortepjany, pianina i harmonja.

Jak wiadomo, tylko fabrykaty pierwszorzędne,
także Bechsteina, Borduxa, Steinwaga, Schiedmayera, Hinkla, Horügla, Burgera itd.

Karol Ecke w Poznaniu, ul. Seweryna Mielżyńskiego 19
założ. 1843

Berlin-Drezno. Najwięk. i najstarszy magazyn. Katalogi bezpłatnie.

